Nr. 36. Lwów, Niedziela dnia 5. Września 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 20 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 32 m. półrocznie 16 m. kwartalnie 8 m.

LUŹNE UWAGI.

XXXVI.

Dwoistość świąt.

Jedną z ważniejszych przyczyn, dla których Galicja wschodnia nie może rozwijać się prawidłowo, jest niezaprzeczenie dwoistość świąt, spowodowana istnieniem w niej dwóch kalendarzów: nowego i starego stylu. Potrzebaż, że i pod tym względem prowincja nasza zajmuje wyjątkowe stanowisko, i do licznych pęt ją krępujących, dobrowolnie sama nakłada na siebie jedno jeszcze, bodaj czy nie najzgubniejsze dla jej rozwoju.

Uporne trzymanie się kalendarza starego stylu, żadną nie jest zasługą naszych Rusinów, a ze strony kleru unickiego jest czemś, co mimowoli naprowadza masy na myśl, że w kościele dzieją się rzeczy, które zdrowy rozum inaczej widzieć jest zmuszony, aniżeli jak mu są przedstawiane. Chrystus się narodził — Chrystus nie narodził się jeszcze... Zmartwychwstał! Gdzie zaś! dopiero mamy zapusty i t. d. a biedny lud nie wie, czy ma wierzyć słowom rzymskich duchownych, czy własnych pomawiać o mistyfikację?... Kościoł jeden, a święta dwoiste; unici wierzą w to, w co wierzą rzymscy katolicy, a przecież pierwszym ze skruchą wypada rozpamiętywać mękę Chrystusa, gdy drudzy radują się już z Jego zmartwychwstania. I to się dzieje nie o sto mil, nie o milę nawet; ale w jednej wsi, lub mieście, pod jednym dachem, nawet w gronie jednej i tej samej rodziny. Czy taki stan rzeczy przyczynia się do wzmocnienia wiary ludu w świętość jej tajemnic? Bardzo wątpimy.

Nowy kalendarz żadną nie jest herezją, gdyż poprawiono w nim tylko błędy dawnego kalendarza; a dodanie jednego dnia do lat przestępnych wszelkiej niedokładności słonecznych obliczań raz na zawsze skutecznie zapobiega. Kalendarz starego stylu świętością być nie może, już dla tego samego, że tkwi w nim błąd astronomiczno-rachunkowy, a co jest mylne, możeż świętem być nazwane?... Że zmiana kalendarza spraw kościelnych w niczem nie narusza, mamy na to dowód najlepszy, gdy przestrzegająca ściśle wszystkiego, co do niej należy, Kurja rzymska zezwoliła rzymskim katolikom na Litwie i w krajach zabranych jeden mieć z prawosławnymi kalendarz; nie może więc ani ta kurja, ani żadna inna władza duchowna mieć cokolwiek przeciw temu, gdy go się zmieni na lepszy w Galicji, jeżeli katolikom, w tamtych krajach na gorszy zamienić go było wolno. A w obec faktu, że mahometański Egipt uznał za stosowne przyjąć poprawiony kalendarz; że z Rzymem pokłóceni protestanci kalendarz ten zgodnie przyjmują— śmiesznem jest zaiste, jeżeli nie występnem nawet dla chrześcijan z Rzymem w zgodzie będących, upierać się przy dawnym błędnym kalendarzu, szczególniej gdy nieuzasadniony ten upór zgubne pociąga za sobą następstwa tak dla ekonomicznych warunków kraju, jako też dla samejże wiary jego mieszkańców, zmuszonych, jak wykazaliśmy, gorszyć się przeciwnościami napotykanemi w jednym i tymże samym kościele.

Jak zgubną jest ta dwoistość świąt dla naszego gospodarstwa, wiedzą o tem wszyscy, znający choćby pobieżnie tylko stosunki ekonomiczne w Galicji wschodniej. Właściciel ziemi jest tam prawie wszędzie wyznania rzymskiego, a więc trzyma się kalendarza nowego, wieśniacy zaś jako unici uznają tylko kalendarz stary. W uroczyste święta łacińskie właścicielowi nie wypada pracować w polu — w uroczyste święta ruskie włościanie pracować nie będę. Zamiast dni pracy, mamy więc ciągłe świątkowanie. Powszechnie wiadomo czy kraj na tem zyskuje.

Dla tego gorąco witamy artykuł *Prawdy* lwowskiej, domagający się zaprowadzenia w Galicji jednego dla wszystkich poprawnego kalendarza. Żywimy nadzieję, że światłe episkopaty unickie w kraju naszym zajmą się tą sprawą gorliwie, i w drodze rozporządzenia, zakresu ich władzy bynajmniej nieprzechodzącego, zniosą zgubną dla kraju dwoistość świąt w jednym katolickim kościele.

CHRZEST POLSKI.

Powieść*) ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach,

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

CZĘŚĆ PIERWSZA:

KAŁAKOŁ POCZTOWY.

I.

Okolicy, w której opowiadanie moje się zaczyną, opisywać szczegółowo tym razem nie będę, jakkolwiek trudno mi się oprzeć pokusie — gdy siadam do jakiej powieści — odszkicowania choćby pobieżnego tej pięknej wszędzie, a tak rozmaitej w swych pięknościach ziemi naszej. A znana mi dobrze ta okolica, w której rozpoczyna się działanie; w młodszym i starszym wieku podziwiałem nieraz tę jej sielską prostotę, łączącą w sobie wszystkie niemal cechy charakterystyczne naszych rodzinnych krajobrazów, w których do serca i oka polskiego przemawia to wszystko, co odznacza polską ziemię, polski lud i polskiego ducha!... urodzajność ziemi, patrjarchalne obyczaje ludu i krewkość naszego niepowodzeniami niespożytego ducha!...

Lecz nie dziś czas malować krajobrazy! Między niemi a naszem okiem unosi się mgła, która z jednej strony zaćmiewa wzrok, a z drugiej strony zasłania ich rysy wybitniejsze. Mgła to z krwi i z łez świeżo rozlanych!...

Gdzie spojrzeć... same prawie mogiły!... Z nich przemawiają dzieje świeżo przebrzmiałych zapasów!... Nad niemi gdy się wędrownik myślą rozmarzy, nie ma czasu rozpa-

*) Powieść niniejsza, rozpoczęta przez Józefa Dzierzkowskiego na kilka tygodni przed jego śmiercią, została teraz w dwóch trzecich częściach wykończoną przez Władysława Sabowskiego (Wołodego Skibę). Ogłoszenie w naszem piśmie tej powieści uważaliśmy za konieczne, ponieważ jako nie będąca własnością J. Dzierzkowskiego, nie może ona być pomieszczoną w zupełnem zbiorze dzieł tego autora. (Przyp. wydawcy).

trywać się po uroczych okolicy pięknościach!... Opisy ludzi i zdarzeń zajmować mnie będą przedewszystkiem!...

Skalistym i krętym wąwozem płynie Smotrycz. Sciany wąwozu rozszerzają i zniżają się coraz więcej, a zdala widać już zielone niwy i łąki podolskie. Z takiej to kotliny, odznaczonej grupą skał, w dziwne kształty pokrajanych, wybiega naprzód ku równinie mała mieścina, a tuż za nią, potokiem jeno, co bieży do Smotrycza, oddzielona wieś podolska, na pół niknie w bujnych sadach zielonych. Przez grobelkę, po pod szumiący łotok młynka małego, gdy przejdziesz, jesteś już we wsi, i ujrzysz po lewej stronie cerkiewkę drewnianą, której krzyż błyszczy między liśćmi dwu lip odwiecznych, pochylonych nad baniastą kopułką. Po prawej stronie, podwójnym rzędem topoli otoczony, na małem wzgórzu wzniesiony dwór widać staroświecki, z krytym gankiem, i starą ulicą lipową, dzielącą ogródek kwiatów od ogrodu owoców. Z pomiędzy lip największa, najstarsza i najbujniejsza wznosi się na środku dziedzińca, okolona darniowem siedzeniem, zapraszającem do odpoczynku i marzeń. Siedzącemu pod nią gdy zaszumi gęstemi konarami swemi, i do marzeń jakby do snu ukołysze, rozpowiadać będzie dzieje tych pokoleń, co przeszły tamtędy jak to zwykle bywa z troską czy radością, i z tem całem życiem, mieszczącem się między wczoraj i jutrem! Miasteczko zowie się Gradowce, a wieś Zaskale.

Na tem kończę opis miejscowości, i zapraszam z sobą łaskawych czytelników do starego dworu, który choć się działanie rozpoczyna z końcem lata r. 1862, tak zewnątrz jak i wewnątrz miał na sobie piętno dworów polskich szlacheckich, jakiemi w pierwszych dziesiątkach wieku naszego, były wszystkie dwory nasze, póki się w nich nie rozpostarły obcych krajów wyobrażenia, i obcego przemysłu wyroby. Na ścianach bielonych, miasto obić pstrokatych, wisiały stare makaty i adamaszki, wypłowiałe już nieco, ale żywo jeszcze przemawiające do oka i myśli tak barwami swemi, jak przedmiotami na nich przedstawionemi. Wisiały też po ścianach obrazy naszych świętych i naszych przodków, podwójnych patronów naszych, patronów religijnych i dziejowych.

Polski duch wiał ze wszystkich kątów dworu w Zaskalu. Przedstawicielem ducha tego był stary rotmistrz Gradowski na Gradowcach, dziedzic Zaskala. Z okien swoich patrzał na stare swe gniazdo rodzinne, na miasteczko Gradowce, które przed mnogiemi już laty przeszło w obce posiadanie. Sam rotmistrz przedał je.

— Lecz się tego nie wstydzę mój panie i dobrodzieju! — zwykł mawiać — bom je przedał, gdy się formowało Księstwo Warszawskie, na potrzeby kraju!... Nasze majątki szlacheckie mój panie i dobrodzieju powinne być fideikomisem, przez ojczyznę nam powierzonym... Niemniej przeto mój panie i dobrodzieju!—dodawał z poczciwym uśmiechem — zostawiłem sobie własność w Gradowcach, mam tam bowiem przy kościele O.O. Kapucynów groby rodzinne Gradowskich. Dom zaś — mówił dalej, a lubił gawędkę — zostawiłem mój panie i dobrodzieju, jakem go odziedziczył po ś. p. chorążym, ojcu moim. Nie jestem ja przeciwny postępowi, i nowym wynalazkom!... przeciwnie chętnie przyznaję, że ludzie wiele nowego i dobrego wymyślili, z czego mamy święty obowiązek korzystać na przyszłość!... Ale mój panie i dobrodzieju, człowiek rozsądny, choć idzie naprzód, zawsze powinien wiedzieć zkąd wyszedł!... Przyszłość mój panie i dobrodzieju jest na to, by się z wad swych naprawiać; a przeszłość, uważa pan i dobrodziej, na to jest, aby zachować stare cnoty!... Ergo mój panie i dobrodzieju, korzystaj z francuskiego i angielskiego rozumu — już to i w teorji wiele mgły, a w praktyce wiele chciwości, a człowiek mglistemi wyobrażeniami może głowę, a chciwością prawość a sumienie zatracić!... Więc jak wyrzekłem, korzystaj z ich rozumu, ale duszą i sercem zostań Polakiem, mój panie i dobrodzieju!... I dla tego też uważasz asindziej, zachowałem dom mój w jego staroświeckiej prostocie!... Dom polski, dla nas co ojczyznę, by nie zginęła, nosim nieustannie w piersiach naszych — powinien być dla polskiego obywatela świątynią narodowych pamiątek!.. Tak jest!... mój panie i dobrodzieju!... kto inaczej myśli — powiem asańśtwu — jest już dziś zdrajcą własnego kraju, lub nim zostać może przy pierwszej jakiej okoliczności!...

Takim był pan rotmistrz Gradowski, o którym powiemy jeszcze, że rotmistrzował już pod starym Napoleonem w Hiszpanji, w Niemczech i w Moskwie. Po latach pięćdziesięciu, sąsiedzi którzy go na prawdę szanowali, chcieli go na gwałt na pułkownika wykierować, wychodząc zapewne z tego stanowiska, że byłby przecież zaawansował niezawodnie, gdyby byli Anglicy Napoleona nie wywieźli na św. Helenę. Ale się temu stary Gradowski oparł, mówiąc głośno i nie bez oburzenia:

— A cóż to u kroćset djabłów, czy ja Moskal, czy co?... abym się rangi wyższej dobijał!... Byłem rotmistrzem, i chcę nim pozostać, choćby dla tego, aby się choć na próbkę jeden rotmistrz został. Bo co znałem Napoleończyków, mój panie i dobrodzieju, gdy wrócili do ojcowskiej grzędy, świeć tam Boże nad nimi — bo nie wiele już ich podobno zostało — to same panie pułkowniki, podpułkowniki, a przynajmniej majory!... Byłem ochotnikiem i szeregowcem pod Jena i pod Friedland, podporucznikiem pod Saragosą, porucznikiem pod Berezyną; po Bautzen dostałem tę wstążeczkę czerwoną, a z pod Lipska wyszedłem rotmistrzem. Dalej nie zaszedłem. Pod Montereau mógłbym się był może dochrapać majorostwa, ale Napoleon nie miał już czasu myśleć o mnie, bo zanadto miał do myślenia o sobie.

— Ale wszakże wacpan dobrodziej, szanowny rotmistrzu, ponieważ nim chcesz być koniecznie, i łaskawy kuzynku — zagadł pan Aleksander Szóstacki, marszałek powiatowy kamieniecki, dzisiejszy właściciel Gradowiec i wielu innych włości — służyłeś jeszcze raz...

Tu pan marszałek kamieniecki oglądał się ostrożnie, ażali nikt nie słucha i dodawał ciszej, choć nikogo nie ujrzał:

— ...W czasie zawieruchy r. 1831...

— Głupiś kochany marszałku!... — odpowiadał rotmistrz!... — Daruj słowo, mniej przyzwoite, ale to zwyczajne między kuzynami!... Najprzód, mój panie i dobrodzieju, to nie była zawierucha, jak się asindziejowi ówczesną wojnę nazywać podoba. To była rewolucja, mój panie dobrodzieju!... powstanie narodu polskiego, sponiewierane przez takich marszałków właśnie jak asindziej, dwustołkowych. A potem choć rzeczywiście pojechałem do Warszawy, to więcej dla tego, aby zawieźć mego Jasia jedynaka i patrzyć jak będzie syn trzepać Moskali. I niech mnie djabli porwą, trzepał doskonale. Ja żadnej rangi nie miałem wtenczas; jako ochotnik służyłem pod rozkazami mego syna, który był porucznikiem... I.. — tu stary rotmistrz głos zmieniał a oczy spuszczał ku ziemi — ztamtąd przywiozłem tylko napamiątkę epolety Jasia z prawej ręki, oderwanej przy szturmie Warszawy wraz z ręką!... Sam wróciłem!... Jasio został w mogile pod Wolą!... Niech mu tam będzie lekką ziemia nasza, krwią naszą przeciążona!... zginął jako żołnierz waleczny!... uczynił zadość obowiązkowi swemu!... A zatem uważasz asindziej, panie marszałku, proszę mnie nie pułkownikować!... Ja nie dla rangi, ale za ojczyznę się biłem!... I dziś jeszcze!... No! no! nie kręć się mój marszałku! nie będziem gadać dalej o nadziejach zawieruchowych, bo nie przymawiając, choć kuzyn mój, boć przecież wuj mojej Kostusi, jesteś straszny tchórz, a co gorzej samolub olbrzymi!...

Zdaje mi się że już teraz czytelnicy moi poznali dobrze mego kochanego rotmistrza Kazimierza Gradowskiego, poznali jak ja go znałem... A gdy go jeszcze bliżej poznacie, to go zapewne czcić będziecie jak ja go czciłem; bo był to ideał — niech mi będzie wolno tego słowa użyć — prawego obywatela polskiego, którego wolno zaiste było nazwać szlachcicem polskim, bo miał w duszy prawdziwą polską szlachetność. Gdyby takimi byli wszyscy?... Ale nie moja rzecz czynić tu uwagi, których wyprowadzenie czytelnikom zostawiam, ani też chcę uprzedzać zdarzenia.

Do uzupełnienia obrazu dodam tylko, że rotmistrz niewielkiego był wzrostu, ale żylasty, silny i czupurny, z wielką jeszcze czupryną jak mleko białą, rysami twarzy wydatnemi, okiem jasnem i otwartem. Nad pełnemi jeszcze ustami przy których poczciwy i serdeczny uśmiech zdawał się być częstym gościem, wznosiły się wąsy równie siwe jak włosy, krótko strzyżone. Faworytów ni brody nie nosił, i w całej postawie i wszystkich ruchach miał coś wojskowego. I ubranie też jego przypominało wojskowe nawyczki; halsztuk sztywny pod szyją, był zawsze po wszelkiej formie z tyłu zapięty; kamizelka jasna pikowa dochodziła aż do szyi; a po wierzchu nosił czamarkę starym krojem, zwanym po dziś dzień kościuszkowskim.

II.

Po jednej stronie dworu w Zaskalu był wielki pokój, który był prawdziwem sercem całego domu. W niem bowiem odbywało się całe życie zaskalskiego dworu. Najważniejsze sprawy domowe i zadomowe, jak krew przez serce w organizmie człowieczym,

musiały przechodzić przez ten pokój, salką zwany, który był niby kancelarją starego rotmistrza, i w którym on dzień prawie cały przebywał. Był on jego pokojem audjencjonalnym, a po części i bawialnią całego dworu, bo w nim też rotmistrz przyjmował gości swoich. Dwie do salki przytykały alkowy: z których jedna była sypialnią pana domu, a w drugiej zbiór gratów i osobny wychód prowadzący w ogród. W salce była bibljoteczka rotmistrza, jego zbrojownia i zbiór jego najulubieńszych obrazów. Na jednej ścianie były stare portrety przodków domu i sławniejszych polskich mężów historycznych czy w koronie, czy z bułatem w dłoni. Na ścianie przeciwnej były wizerunki ludzi i zdarzeń, sławniejszych po rozbiorze kraju.

Do tej salki wejdźmy. Żywa się w niej toczy rozmowa. Rotmistrz swoim zwyczajem szerokim przechodzi się krokiem od jednej ściany historycznej do drugiej, z antypką i wiecznie gorejącą stambułką w jednej, a kapciuszkiem, pełnym wonnego tureckiego tytoniu, w drugiej ręce. Przy stole okrągłym, stojącym na środku, pokrytym suknem zielonem, na którym leżą gazety, książki i papiery porządnie poukładane, w jednym z fotelów okalających stół, siedzi rozparty mężczyzna, którego cała powierzchowność w dziwnem a zupełnem jest przeciwieństwie z gospodarzem domu.

Siedzący jest to mężczyzna długi i chudy, z twarzą młodą jeszcze, której wszakże wyraz starszy daleko kłóci się najmocniej ze zwykłym młodości wyrazem. Miasto młodej otwartości bowiem widna na twarzy przezorność i przebiegłość nieustająca, ciągle rozbudzona, ciekawa i śledząca. Oczy, wielkiemi brwiami obsłonione, nie patrzą wprost nigdy; zdają się ciągle biegać niespokojnie i badająco. A jeszcze z niemi zdają się iść co do wyrazu nieustannej ciekawości, uszy długie, ogromne, szeroko rozwarte. Oczy zdają się mieć ochotę wszystko zobaczyć, a uszy wszystko usłyszeć. Nad czołem ciasnem ale wyniosłem dosyć, wznoszą się włosy barwy ciemnej ale niepewnej, gęste, rozczochrane wichrowato, po których przy rozmowie, czy przy rozmyślaniu biega ciągle ręka żywym i przyśpieszonym ruchem. Rysy twarzy są zresztą regularne, i gdyby nie ten wyraz, o którym tylko co wspomniałem, twarz tę można było nazwać przystojną, a nawet sprytną. Twarz cała ogolona, nad ustami pełnemi, ciągle prawie uśmiechniętemi nie ma wąsów: krzaczyste tylko bakenbarty ciągną się od uszów do brody.

Jak twarzą tak suknią różni się siedzący niepomału od rotmistrza. Surdut mudurowy zielony z pąsowym kołnierzem, znamionuje urzędnika. Siedząc w fotelu jedno oko przymrużył, a drugiem biega uważnie za chodzącym rotmistrzem; na ustach zaś odbija się półuśmiech, dobroduszny prawie. Takim przynajmniej mieć go chce widocznie.

— Panie Kazimierzu!... — mówi do rotmistrza, i głosowi swemu fistularnemu nieco, dodaje wyrazu poczciwej rubaszności.— Panie Kazimierzu, znamy się przecież od dawna, i wiesz że jestem przyjacielem twoim, tak jak był niegdyś mój ojciec.

— Twój ojciec, Pawle Onufryjewiczu, był rzeczywiście godny człowiek, i nam przychylny, choć Moskal...

— Smiać się muszę panie Kazimierzu! gdy wy Polacy myślicie, żeście coś powiedzieli, nazwawszy nas Moskalami. A przecież Moskal, to wasz brat w słowiańskiej rodzinie...

— Dajno panie Pawle pokój z tem waszem pochodzeniem słowiańskiem...

— Ja się z wami kłócić nie chcę, bo ja wasz druh i przyjaciel najszczerszy. A zresztą, i ja i mój ojciec my nie Moskale; my przecie z rodu niemieckiego!... a niemiecki naród, to na cały świat najucywilizowańszy i najliberalniejszy.

Rotmistrz zatrzymał się, buchnął ogromnym kłębem dymu i zadrgały mu usta, jakby żądne słów gwałtownych, ale się powstrzymał. Stary rotmistrz nie z jednego pieca chleb jadł, i w razie potrzeby umiał politykować.

— A prawda!... — odrzekł rotmistrz po chwili.—Fliders! tak Fliders... wy z Kurlandji podobno.

— Fon Fliders!... Nie! my nie z Kurlandji. Dziad mój miał w Pomeranji piękne Rittergut...

— I porzucił ojczyznę...

— Bo musiał!... bo człowiek co ma rozum, musi szukać szczęścia w świecie...

— Mniejsza o to!... Wezwałeś panie Pawle pamięć ojca twego. My go tu wszyscy kochali; jako strapczy odznaczał się szczególną uczciwością!...

— To też umarł goły!... On był strapczym; ja jestem kapitanem sprawnikiem, i to samo serce mam dla was!...

— Dla nas wszystkich?...

— Niech mi tak Bóg dopomoże!... Ja was Polaków kocham bardzo!... Bo wy macie otwarte serca i...

— No! nie wstydź się dodać!... i ręce!...

— Czego się mam wstydzić!... Car dobry, ale mało płaci!... a ja mam matkę i pięć sióstr jeszcze niezamężnych...

— Dajmy temu pokój!... Ja wam tego nie mam za złe, i Bóg widzi, że z serca daję, co dać mogę.

— Wy jesteście bardzo poczciwy człowiek. Na Boga przekrasny człowiek!...

— Od godziny, kochany panie Pawle, kręcimy się w ogólnikach!... powiedz już raz o co rzecz idzie— bo widzę że coś masz na języku!...

— No ja wam mówił że was kocham, bo to prawda, i ja dla tego przyjechał do was że was kocham. Panie Kazimierzu!... wy spiskujecie?...

— Ot pleciesz!.. — odrzekł rotmistrz bez zająknienia, ale przez krótką chwilę, ostro i z uwagą spojrzał na kapitana sprawnika...

— Wam się zdaje, że ja nic nie wiem!.. Ja tu nie przyjechał jako kapitan sprawnik; ja przyjechał jako wasz szczery przyjaciel. Czy spiskujecie?...

— Słuchaj no panie Pawle!... ja cię lubię, bo kochałem twego ojca, i mam cię za niezłego człowieka, choć jesteś moskiewskim urzędnikiem!

— Ja dobry człowiek!... ja mam serce najlepsze! — przerwał Paweł Onufryjewicz.

— Ale!... — wówił rotmistrz dalej, nie zważając na przerwy; — ale ja nie chcę byś sobie żartował ze mnie... Gdzie mnie staremu spiskować!

— I marszałek spiskuje!...

— Marszałek, który się boi cienia swego!... O, to trafiłeś jak kulą w płot!...

— I jego syn! choć był kamerjunkrem w Petersburgu, spiskuje także!...

— Nie dajże się wyśmiać!... I ojciec i syn, z nazwiska są tylko Polakami.

— Ale są ambitni! Im się roją przyszłe krzesła senatorskie. Oni się boją!... ja to wiem!... to właśnie są najpodlejsze dusze... wierzcie mi panie Kazimierzu.

Rotmistrz przystanął i z większą uwagą jął się przysłuchiwać.

— Oni wiedzą, że się organizuje spisek polski!... więc się chcą wmięszać do niego, aby ten spisek jeżeli się uda, obrócić na korzyść swoją i sobie podobnych. A jak się nie uda, to będą nasze stopy lizać, a was przedadzą!... No i cóż panie Kazimierzu! — dodał z miną tryumfującą — czy ja nie dobrze znam wszystko?

— Co wy tam wiecie! Pawle Onufryjewiczu, ja się w to nie wdaję — ależ powiedzcie przecie od razu, zkąd się wam przyśnił ten spisek... To ten szelma prystaw, Iwan Iwanowicz, jak się upił, musiał wam po pijanemu głupstw nagadać.

— Iwan Iwanowicz jest szelma!... to wielka prawda!... to sukin syn!... On i was szpieguje, i mnie niedowierza. I dla tego właśnie ja przyjechał do was, panie Kazimierzu, jako przyjaciel, aby was przestrzedz, i poradzić się z wami...

— Przecież ja wam ufam! — ozwał się rotmistrz, i stanąwszy na środku salki, wpatrzył się z większą uwagą w siedzącego kapitana sprawnika. — Więc gdyby co było, sam bym wam powiedział, i -o radę pytał... Ale niech mnie djabli wezmą, jeżeli wiem, o czem chcecie mówić.

— Nie gniewajcie się panie Kazimierzu! — rzekł Paweł Onufryjewicz, i starał się przybrać minę poważną i tajemniczą. Powstał z krzesła i zbliżywszy się do rotmistrza, położył z pewną serdecznością rękę na jego ramieniu. — Słuchajcie, ja wiem że wam przysłali z Warszawy pismo tajemne.

— Pismo tajemne?...—zaśmiał się głośno rotmistrz.

— Rozkaz organizacji do spodziewanego powstania, i patent na naczelnika organizacji w Guberni Podolskiej.

— Drwisz czy drogi pytasz!.,. — mówił dalej rotmistrz śmiejąc się głośno i szczerze.

Kapitan sprawnik wpatrzył się w niego, i przez jednę krótką chwilę wystrzelił mu z oczów wyraz złośliwy, srogi prawie, dowodzący że lis może stać się tygrysem.

— Wy tęgi, prawowirny człowiek!... panie Kazimierzu!... Kocham was za to! ani okiem zmrużyliście — ani zadrżeliście!... choć już widzicie że ja wiem coś...

— Coś?... to więcej jak ja!...

— Coś?... mówicie!... ja wiem wszystko. Chcecie bym wam powiedział, przez kogo dostaliście owe pismo z Warszawy?...

Rotmistrz kiwnął ręką, splunął, i chodził dalej krokiem, jednakowo wymierzonym;

kłęby dymów jeno puszczał coraz częstsze i większe.

— Wy mnie nie dowierzacie!... panie Kazimierzu — zaczął znowu kapitan sprawnik, a głos jego przez odbijający się w nim ton fistułowy, dziwnie nieharmonijny, stawał się jeszcze fałszywszym przez przycisk tkliwości prawie płaczliwej, jaki mu nadawał. — Ja się temu nie dziwię wcale, bo was Polaków zdradził już nie jeden moskiewski urzędnik. Ale ja panie rotmistrzu inny człowiek... ja mam serce... Jej Bohu! ja mam serce, i pamięć!.. Ja dobrze pamiętam, kiedy po śmierci ojca była nędza w domu i długi...

Rotmistrz machnął rękami, jakby chciał powstrzymać te przypomnienia...

— Daj pokój Pawle Onufryjewiczu! — wymówił rotmistrz, a w głosie jego, zawsze dźwięcznym i poczciwym, odbiło się jeszcze więcej serdeczności.

— Ja pamiętam!... bo ja mam serce!... A kiedy przed laty kilkoma u mnie w domu panował tyfus, i leżały śmiertelnie chore moja matka biedna i trzy siostry moje!.. kto ratował?... kto pomagał?...

— Dajże pokój Pawle, do trzysta djabłów! panie dobrodzieju!... przecie to święty obowiązek, i ojciec twój był mi szczerym przyjacielem...

— Wyście ratowali, wyście pomagali!.. panie Kazimierzu! — mówił kapitan sprawnik, głosem coraz płaczliwszym, i szedł krok w krok za rotmistrzem. — Wy panie Kazimierzu, z waszą Kostunią!... Poczciwa i śliczna dziewczyna!... niech jej to Bóg nagrodzi..

— Ja pamiętam... wszystko — mówił dalej sprawnik głosem przerywanym... — bo ja mam serce!.. tak, ja... mam... serce!...

Tu zamilkł na chwilę... i dobywszy z kieszeni mundurowej wielką chustkę kraciastą, przyłożył ją do oczów.

Rotmistrz zbliżył się do niego i porwał go za rękę...

— Wstydź się asindziej... panie i dobrodzieju!... nie bądźże babą!...

— Ja... mam serce!...

— Wiem że jesteś dobrym w gruncie człowiekiem!... i wierzę że masz serce...

— Wierzysz temu panie Kazimierzu? — przemówił sprawnik głosem już naturalniejszym. — To mnie cieszy!... — dodał i odjąwszy chustkę od oczów, spojrzał za przechadzającym się dalej rotmistrzem, a z oka burego wystrzelił wyraz półtryumfu.

— Wierzcież i temu, że ja chcę was ratować.... i dla tego przyjechałem.

— Kiedyż ja ratunku nie potrzebuję!... Niech mnie djabli porwą, tobie się coś w głowie przewróciło...

— I mimo woli waszej... wyratuję!...

Rotmistrz stanął naprzeciw niego na środku pokoju, spojrzał na niego, a w tym wzroku odbiło się jakieś przez chwilę uczucie niepewne. Spojrzał na ściany historyczne i nagle obróciwszy się, przechadzał się dalej, nakładając ulubioną luleczkę i krzesząc ogień ruchem nieco niecierpliwym...

(C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

I.

Przez Alpy.

(Ciąg dalszy.)

Na prawo od gościńca widać olbrzymie jezioro, nad którego brzegami siedzą nagie wapienne skały, podobne do szekspirowskich czarownic. Głębokość jego niezmierzona, a jak rybacy zapewniają, znajdują się w niem pstrągi ważące do 18 funtów. Jezioro na szczycie tak wysokiej góry, gdzie prócz mchu i drobnych kwiatuszków nic nie rośnie, sprawia dziwne, nieopisane wrażenie. Mimowoli przychodzą na myśl opowieści ludowe o kanałach podziemnych, któremi wszystkie górskie jeziora mają być z morzami połączone — a rozum stara się natychmiast dociec, ile prawdy mieści się w tych przypuszczeniach; że w nich nie ma nic prócz fantazji, o tem pono już wszyscy dziś wiedzą. W epoce diluwialnej, podczas tworzenia się mórz i rzek, przepaści ścianami gór szczelnie zamknięte wypełniły się wodą ze źródlisk u dołu i z lodowców u góry, i tak powstały nasze jeziora tatrzańskie i wszystkie szwajcarskie.

W małej łódce widziałem dwóch rybaków, żeglujących ku stronie, gdzie jezioro przedłużając się w wąską szyję, gubi się wśród nagich skał i gęstej mgły. Zdawało mi się, że widzę Danta płynącego z Wirgiljuszem w podziemne kręgi piekła. W ogóle szczyt Cenizjusza jest straszny—całe otoczenie przypomina koniec życia, śmierć. W późniejszych moich podróżach przez Gotharda, Splügen i Bernharda, zawsze takiego samego doznawałem wrażenia. Nagie, gdzie niegdzie śniegiem pokryte skały, okiem nieobjęte jezioro, mgły pędzone wiatrem przejmującym na wskróś — a wszystko to trwające nie jeden dzień, miesiąc, lub rok — ale wieczność!

Na lewo od gościńca stoją domki, między któremi jeden, piętrowy, wyszczególnia się poważniejszą architekturą. Jestto Hospicium, zamieszkałe przez mnichów. Do jego boku przytyka mały kościółek, o którego zbutwiałą bramę uderzał wiatr z łoskotem. Na piętrze ujrzeliśmy w otwartem oknie tłustą i rumianą twarz jakiegoś księdza, zapewne przełożonego domu przytułku, który głaszcząc prałacki podbródek, przypatrywał się z zadowoleniem kilku krowom, które opodal zrywały mech i żółte kwiatuszki.

A więc i tu żyją ludzie, i muszą być ze swego losu zadowoleni, gdy tak dobrze wyglądają.

Wstąpiliśmy do izby gościnnej obok Hospicium, aby przy szklance wina odpocząć i nabrać sił do dalszej podróży. Pan Eustachy podrzymał godzinkę, a gdy oczy otworzył, Karol, który o cierpliwości miał bardzo słabe wyobrażenie, zwrócił się doń z zapytaniem:

— I cóż się stało z księciem Sulimą i jego nadwornym lekarzem?

— A, prawda, obiecałem dokończyć... niech więc i tak będzie. Otóż nasi bohaterowie zaspokoiwszy cudzym kosztem zgłodniałe żołądki, szli dalej pełni fantazji. Muszę tu nadmienić, że podróż swoją odbywali z końcem października, a więc szczyty były już grubym śniegiem pokryte. Gdy z góry się spuszczali, Sulima, któremu wino głowę zawróciło, zsunął się nagle ze stromej skały i wpadł w śnieg po samą szyję. O wydostaniu się na wierzch przy pomocy sił własnych mowy nie było, skała bowiem wznosiła się ze wszystkich stron stromo jak ściana. Idąc, pokażę wam to miejsce historyczne. Doktor stanąwszy nad przepaścią, z politowaniem spoglądał na swego towarzysza.

— Ratuj, doktorze! — wołał książę przestraszony.

— Ratuj, łatwo powiedzieć, ale jak wykonać. Przecież cię ręką nie dosięgnę.

— Wszakże masz pled! Rzuć mi jeden koniec, ja się go uchwycę i wybrnę z tej kąpieli.

— Jużto, mój kochany książę, w twojej głowie zawsze zielono. Jak pled w swoje rączki dostaniesz, to i siebie nie ocalisz i mnie ściągniesz; wszak widzisz, że nie mam się o co oprzeć.

— Więc mam tu czekać dnia sądnego? Doktorze, chyba zwarjowałeś!

— Nie irytuj się kochanku, gotowo ci w kąpieli zaszkodzić. A kąpiel bardzo ci była potrzebną, boś tyle wypił, żem się już lękał, by cię apopleksja nie zabiła. Szkoda by takiego pięknego kawalera.

— Niech cię piorun trzaśnie!

— Ależ nie irytuj się gołąbku, bo to się na nic nie przyda. Ja chociaż z natury jestem także gwałtowny, wiem, że w takich razach zimna krew jest najzbawienniejszą. Otóż posłuchaj, co ci powiem. Sam cię nie wyciągnę, bo nie mogę, boję się narażać; do hospicjum po ludzi nie wrócę, bo to mila drogi pod górę, a jam już nadto zmęczony; zresztą kto zaręczy, czy jedna z tych bab nie uwiadomiła żandarmerji... u barjery widziałeś przecie dwóch żandarmów... mogliby przez omyłkę wziąć mnie za ciebie... Nie zechcesz więc bym się poświęcał. Najlepiej zatem zrobisz jeżeli zdawszy się na łaskę opatrzności, która nawet o wróblu nie zapomina, będziesz czekał lepszej doli. Ja zaś łatwiej sam do Turynu się dostanę, bo guldenem bawarskim, który mam w kieszeni, nie będę potrzebował z tobą się dzielić. Dobranoc, drogi przyjacielu!

— Doktorze! — wołał Sulima przestraszony — nie odchodź, zlituj się, ja zginę, widzisz że się ściemnia! Ratuj!

— Mój drogi, co ma wisieć, nie utonie — pociesz się tą zbawienną maksymą. A jeżeli wbrew mojemu przypuszczeniu, utoniesz w tym śniegu, to chociaż świat na tem tylko zyskać może, postaram się, że pięć mszy odmówią za spokój twojej duszy.

— Ha, łotrze!...

Doktor więcej nie słyszał, bo zarzuciwszy pled na głowę ruszył dalej w drogę. Piątego dnia stanął w Turynie, lecz jakie było jego zdziwienie, gdy na samym wstępie dowiedział się od znajomych, że ks. Sulima jest już od czterech dni w stolicy, mieszka w pierwszym hotelu, ma czterech lokajów i jeździ dwukonnemi powozami.

— A wiesz pan — przerwał nagle Karol opowiadającemu — że to zakrawa na bajkę z Tysiąca nocy.

— Przyznaję, że nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe. Prawda, moi przyjaciele, ma tę właściwość, że jest bardzo prostą; to też książę wydobył się z kąpieli w najprostszy w świecie sposób. W godzinę po oddaleniu się doktora, Sulimę zaczęły siły opuszczać; wtem słyszy dzwonek u góry — widocznie ktoś jechał sankami. Zebrawszy resztę sił, zaczął krzyczeć w niebogłosy. Sanki się zatrzymały i dwie twarze ukazały się

na skale przy blasku latarki. Był to Anglik, który jechał do Włoch spleen zabić, i jego służący.

— *Who is there?* — zapytał konwencjonalnie dumny syn Albjonu, jakby w ogóle jakiekolwiek pytanie było tu potrzebne.

— *A robbed prince!* — dał się słyszeć głos z głębi.

Akcent czystej krwi torysa bardziej zaimponował Anglikowi, aniżeli wiadomość, że w śniegu pod skałą spoczywa jakiś książę zrabowany. Słowa więcej nie mówiąc, lord zbliżył się do sanek i ruchem ręki ostrzegł woźnicę, aby konie dobrze przytrzymywał, a sam wyjął z pod koziołka długi sznur, i dwa kije z ostremi końcami, jakich zwykli używać turyści w niebezpiecznych wycieczkach po Alpach. Nic nie mówiąc wbił oba drążki z taką siłą, że z lodu prawie iskry się posypały, nic nie mówiąc obwiązał swojego grooma wpół, i nic nie mówiąc dał mu znak, aby się zsunął ze skały. Groom usłuchał, także nic nie mówiąc. W kilka minut wszyscy byli przy sankach. Anglik widząc, że ocalony młodzieniec trzęsie się i dzwoni zębami, okrył go swojem futrem i kazał coprędzej nawrócić do Hospicium. Tam zabawili całą dobę, poczem z tryumfem przyjechali do Turynu. Lord był niezmiernie szczęśliwy, że wśród takich okoliczności ocalił życie zagranicznemu księciu, którego złoczyńcy zrabowali, a Sulima zacierał ręce z radości, że spotkał dojną krówkę. Podoił ją też po swojemu, tem łatwiej, że Lord ani przypuszczał, by człowiek tak gładki i tak wybornie mówiący po angielsku, mógł zmyśleć tytuł i historję o rozbójnikach. Odjeżdżając trzeciego dnia do Medjolanu, zostawił księciu tytułem pożyczki trzysta luidorów, które nasz bohater pod słowem honoru przyrzekł mu odesłać do Rzymu. W dodatku Sulima, wydając się przed Anglikiem za księcia rossyjskiego, zaprosił go do swoich dóbr nad Wołgą na polowanie, które przyrzekł umyślnie dla niego urządzić w przyszłej jesieni.

— A z doktorem co się stało?

— Doktor stanąwszy w Turynie udał się z największą flegmą do Sulimy i w pięć minut stosunki między nimi tak się ułożyły, że nanowo zostali dobrymi przyjaciołmi. Jeden drugiego potrzebował i dla tego się trzymali...

— Ale zkąd pan masz wiadomości tak szczegółowe? — zagadał Karol, któremu cała opowieść dość bajeczną się wydawała.

— Od samego doktora, którego przypadkiem poznałem w Genui a który jak pałkę zaleje, śmiertelny grzech wypowie. Mieszkając dłużej we Włoszech, nie jednej jeszcze rzeczy o nich się dowiecie. Ale dosyć już tych wspomnień, z któremi zapoznałem was nie z przyjemności, lecz dla waszej przestrogi. Patrzcie, już druga, jak to czas leci! Zbierajmy się, bo inaczej przed wieczorem nie staniemy w Suzie.

Wybiegliśmy na dwór, dążąc ku Włochom.

Poznańczyk nie przesadzał. To co nam powiedział o tych dwóch osobistościach, mogło być najistotniejszą prawdą. Nie raz później nazwiska księcia i lekarza przybocznego obijały mi się o uszy, a zawsze łączyły się z niemi opowieści o najrozmaitszych sztuczkach, jakie płatali. Dla oderwania uwagi pobłażliwego czytelnika od monotonnej poróży przez nagi szczyt góry, powtórzę je tu w krótkości, zastrzegając się jednak, że *relata refero.*

Sulima spędził w Turynie przeszło rok. Znał wszystkich członków ciała dyplomatycznego, bywał u Cavoura na objadach i na balach w pałacu królewskim. Jakiego rodzaju przemysłem żył wtedy, tego już nie wiem. Wypadek chciał jednak, że pewien magnat polski, dobrze widziany na dworze sardyńskim, przyjechał w tym czasie do Turynu, a zobaczywszy tę podejrzaną osobistość, jak zuchwale szastała się po najpierwszych salonach, ostrzegł przed nią wszystkich. W mgnieniu oka przed Sulimą i jego towarzyszem zamknęły się bramy pałaców, poczem otrzymali rozkaz od dyrektora policji, aby coprędzej opuścili granice królestwa. Rząd, chcąc uniknąć skandalu, nie kazał ich uwięzić. Jeżliby mnie kto zapytał, jakim cudem tego rodzaju oszustwa mogły się tak długo udawać cudzoziemcowi w państwie tak porządnie administrowanem jak królestwo Sardyńskie — odpowiedziałbym, że działo się to w latach, gdy Cavour z Garibaldim wypędzali Burbonów, gdy w myślach i na ustach każdego była *Italia unita*, gdy uwaga ogółu była nierównie więcej skierowaną na sprawy zewnętrzne, jak wewnętrzne, gdy nareszcie do Turynu zjeżdżało się krocie cudzoziemców, z których jedni brali czynny udział w pracy około oswobodzenia Włoch, a drudzy grali rolę niemych widzów. Rząd zabierając się do dzieła tak olbrzymiego, protegował cudzoziemców, chcąc cały świat mieć po swojej stronie. Tylko wśród fermentu szumowiny na wierzch wypływają.

Rozkaz policji doręczono Sulimie i jego lekarzowi. Radzi nie radzi zaczęli się zbierać, ale przed samym odjazdem dali jeszcze nauczkę jakiemuś księciu marokańskiemu, który w towarzystwie kilku dygnitarzy przyjechał odwidzić boską Italję. Sulima zaprosił natychmiast poganina na objad, a gdy potentat afrykański tak się ududlał szampanem, że o bożym świecie zapomniał, wyludził od niego kilkanaście tysięcy franków, i tej samej nocy wyjechał z Doktorem do Genui, zostawiwszy w dodatku poganinowi, który po objedzie spał ze swymi dygnitarzami w sali jadalnej, niesłychanie słony rachunek za objad. Marokańczyk wytrzeźwiwszy się zapłacił, a rachunek schował na wieczną pamiątkę.

Kilka lat nasi panowie włóczyli się po Włoszech, wszędzie próbując szczęścia. Raz zrobili nawet wycieczkę do Szwajcarji, gdzie bez pieniędzy kupili od jakiegoś feudała stare zamczysko. Na propozycję Sulimy właściciel zamku podjął się go własnym kosztem przebudować. Kilka miesięcy karmił obu kupców i odświeżał ruderę, a gdy robota była na ukończeniu i zbliżał się termin wypłaty, nowi nabywcy czmychnęli bez śladu.

Jeden z urzędników prefektury bolońskiej opowiedział mi następujący epizod:

— Pewnego dnia wpada do prefektury jakiś jegomość żądający, by go wpuszczono do prefekta. Urzędnik, który siedział w przedpokoju zapytał nieznajomego, jaki ma interes. — „Jestem polski emigrant, książę Sulima i potrzebuję pieniędzy na drogę do Neapolu.“ Urzędnik nie chciał jakoś temu dać wiary. Wszczęła się sprzeczka; Sulima rwał się gwałtem, a gdy urzędnik zatarasował drzwi sobą, Sulima tak go w twarz uderzył, że ten aż się wywrócił, poczem prince wszedł bez opowiedzenia się do biura prefekta. W pięć minut tak prefekta otumanił, że ten nie tylko z funduszu dyspozycyjnego dał mu znaczniejszą kwotę, ale nadto zgromił wypoliczkowanego urzędnika, że śmiał zatrzymywać taką znakomitość. Fakt ten tak podziałał na urzędnika, że chociaż później wszyscy wiedzieli o oszustwie, on jeden powtarzał dobrodusznie:

— *Diavolo!* Tak jak on mnie palnął, może uderzyć tylko prawdziwy książę.

Udając wychodźcę, którym nigdy nie był, Sulima niesłychanie zaszkodził Polakom mieszkającym we Włoszech, i w ohydny sposób kompromitował naród, który go wydał ze swego łona.

Zaświtał jednakże i dzień kary.

W Neapolu złowiła go policja na nowej sztuczce, poczem wysłano go do Caglieri na wyspie Sardynji. Jestto Cayenna włoska. Przesiedział lat kilka: gdy go uwolniono, chciał wrócić do kraju, ale umarł w drodze...

Co się stało z doktorem? W r. 1866, na kilka tygodni przed wybuchem wojny między Włochami a Austrją, otrzymałem od niego list z Livorno, i dramat włoski pod napisem: *Le donne polacche.* Usprawiedliwiając zgłaszanie się do mnie, jako do osoby całkiem mu nieznanej, prosił, bym się postarał o przedstawienie jego dramatu na jednej ze scen florentyńskich. Dramatu nie można było przedstawić, gdyż był za słaby; z całości wiała nowoczesna szkoła włoska, pełna deklamacji. Ale w pojedyńczych ustępach było dużo serca, dużo wspomnień naszych, które Polakowi łzy wyciskały....

Szkoda takiego talentu!

Osobiście Doktora nie poznałem. Od czasu do czasu dolatywały mnie o nim wieści, i na jego usprawiedliwienie mogę to powiedzieć, że odkąd rozstał się z Sulimą, nie uczynił nic takiego, czego by mu przebaczyć nie można. Widocznie był tylko narzędziem w rękach awanturnika, który go naginał do swoich planów.

Czy Doktor żyje? Nie wiem. Na wystawie wiedeńskiej w r. 1873 spotkałem się w pawilonie szwajcarskim z pewnym Niemcem, którego poznałem we Florencji, a który Doktora widywał często w Livorno.

— Co się z nim stało? — zapytałem.

— Przed kilku laty widziałem go ostatni raz w szpitalu, w Neapolu. Był obłożnie chory... Szkoda talentu!

Śmiejąc się i gwarząc wesoło schodziliśmy coraz niżej i niżej. Na skręcie jednej, ku niebu prostopadle piętrzącej się skały, spotkaliśmy wóz pocztowy, toczący się krok za krokiem z Włoch do Sabaudji. Ciągnęło go siedm par mułów, przed któremi szedł poważnie osieł. Nie wiem dla czego to zwierzę żyje u wszystkich narodów w tak wielkiej poniewierce, chyba dla tego, że skromne i na małem poprzestaje. Odmawiają mu wszystkiego, a jednak należy ono do najroztropniejszych na ziemi. Idąc naprzykład teraz przed mułami, osieł zakreślał na skręcie każdego pagórka szerokie półkole, aby się wóz nie wywrócił, co niewątpliwie musiałoby nastąpić, gdyby postępujące za nim zwierzęta nie miały w stosunku do swej liczby odpowiedniej przestrzeni; a stanąwszy na ostatkim krańcu półkola oglądał się badawczo, jakby chciał naocznie się przekonać, czy muły idą w należytym porządku. Źle skromnym, bo z nich świat się śmieje....

Od kilku godzin byliśmy bez przerwy w gęstej mgle. Naraz mgła zaczęła ustawać, a my z krainy zimna i martwych kamieni weszliśmy w świat łagodniejszej temperatury i żywej roślinności. Tam na górze były tylko mchy i drobna jak mech trawa; tu zaś pokazywały się najpierw karłowate krzewy, potem coraz większe drzewka szpilkowe, a jeszcze niżej iglami ku

niebu strzelające jodły. Niktby nie uwierzył, jak głębokie wrażenie robi na każdym człowieku, który dłuższy czas spędził wśród obumarłej natury, widok pierwszej krzewiny. Czujesz że ze świata śmierci wchodzisz w świat życia...

Około 5 z południa przybyliśmy szczęśliwie do miejsca, zkąd głęboko w dole można już było dostrzedz pierwsze włoskie miasteczko — Suzę, i szeroką piemoncką równinę.

Wrażenie, którego w tej chwili doznałem, muszę zaliczyć do najszczęśliwszych w całem mojem życiu. Wyobraźcie sobie za sobą i po obu bokach olbrzymie góry; nad głową chmury tak nisko, że je prawie ręką można uchwycić; mgłę gęstą unoszącą się nad przepaściami i lecącą bezładnie gdzieś ku północy; strumienie szumiące między skałami tak głęboko, że wzrok ludzki darmo śledzi ich biegu; róże alpejskie wspinające się na granitowe złomy i smutne drzewa szpilkowe nucące pieśń cmentarną; — przed sobą zaś wyobraźcie sobie okiem nieobjętą zieloną równinę, na którą promienie słońca padają z niewidzianej przestrzeni, i igrę tysiąca barw, zlewających się w złotawo-fjoletowe morze światła, którego ani Salvator Rosa, ani Poussin nie mógł by naśladować,—a będziecie mieli słaby obraz widoku, który myśmy w niemem podziwiali milczeniu.. Zdawało mi się, że stoję na najwyższym kręgu amfiteatru wszechświata, i że przedemną Bóg oświetlił widownię wszechświata, na której dwadzieścia miljonów odgrywa od tylu wieków wielką życia trajedję.

O 8ej wieczór stanęliśmy w Suzie.

(C. d n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

III.

Zamiarem Piotra III nie było samo tylko zawarcie pokoju z Fryderykiem, lecz utworzenie zaczepno-odpornego sojuszu. To też w kilka dni potem, posłał rozkaz jenerałowi Czernyszewowi, dowódzcy 30 tysięcznego oddziału pomocniczego przy armji austrjackiej, zimującemu w Morawji, aby natychmiast ustępował do Polski przez Szląsk. Drugi zaś rozkaz w ślad za tym wyprawiony, polecał jenerałowi połączyć się z armją pruską, i słuchać rozkazów króla. Cesarz nie raczył zawiadomić o tem rozporządzeniu ani wiedeńskiego ani francuskiego dworu, a sami posłowie tych mocarstw przy nim, zaledwo z gazet się o tem dowiedzieli.

Wkrótce poseł rossyjski oświadczył we Wiedniu ks. Kaunicowi, że car znajdując zbyt długiemi obrady kongresu, uznał za lepsze, wejść w bezpośrednie porozumienie z królem pruskim, wskutek czego zawarł z tym ostatnim pokój. Poseł radził dworowi wiedeńskiemu to samo uczynić, wojna bowiem Niemców nie tylko im szkodzi, lecz nadto jest niekorzystną i dla państwa cara rossyjskiego.

W ślad za tą deklaracją nastąpiło podpisanie traktatu, zawartego 5. maja 1762, który doręczyli baron Holtz, wysłany przez króla pruskiego na ministra pełnomocnego do Petersburga, i angielski poseł Kejt. Piotr obchodził zawarcie pokoju z największym tryumfem; kilka dni trwały zabawy, car każdego razu pokazywał się na nich w pruskim mundurze, ozdobiony orderem Czarnego orła, który niedawno przedtem przysłał mu Fryderyk; równocześnie, chcąc niby lepiej zadrwić z Austrji, zapraszał na uczty jej posła, hr. Merci, lecz ten z całą dumą nie przyjął zaprosin. Podczas tych festynów nie było jednego dnia, żeby car nie upił się do nieprzytomności, a w tym stanie zawsze musiał się z czemś niebezpiecznem wygadać. Pewnego wieczora jak zwykle rozpoczął gawędę o Fryderyku, wtem utkwił znacząco wzrok w oblicze radzcy stanu Wołkowa i powiedział głośno:

— Trzeba przyznać, że ten pruski król to wielki czarodziej, bo zaledwieśmy ukończyli nasze wojenne plany, a już wiedział o nich!

Wołkow zmięszał się i poczerwieniał.

— Po co masz się turbować? — ciągnął dalej Piotr, — bądź spokojny, Sybir ci nie grozi! Jakkolwiek jesteś bojaźliwym, nie mniej przeto odważnie komunikowałeś wszystkie plany i propozycje rady stanu, które odsyłałem temu wielkiemu królowi.

Gdy się uczty kończyły, car widząc rozdrażnienie posła wiedeńskiego i chcąc jeszcze boleśniej go dotknąć, kazał powiedzieć: Ponieważ jedna tylko cesarzowa-królowa, popychana nieograniczoną żądzą władzy i pragnieniem odebrania Szląska i hrabstwa Glatskiego, uroczyście odstąpionych Prusom, jest dziś przeszkodą do ustanowienia powszechnego pokoju, przeto on, car, powiększywszy swój korpus o 20 tysięcy ludzi, postanowił posłać go do Niemiec, aby przymusić Marję Teresę do odstąpienia od nieprawych uroszczeń. — Wszystko zapowiadało, że pogróżka darmo nie przejdzie. Król pruski już się łudził nadzieją, że wkrótce rossyjskie posiłki pospieszą mu na pomoc i będą walczyły pod jego sztandarem, i rzeczywiście przyszłoby było do tego, gdyby nagłe zmiany, zaszłe na dworze, nie były przeszkodziły temu fatalnie.

Pośród tych narad wojennych, pośród nieustannych reform, pozostających w większej części bez wykonania, pośród nieużytecznych festynów, Piotr III nigdy nie zapomniał o swojej Woroncowej i z dniem każdym poddawał się coraz więcej jej panowaniu. Nieoświecona i niezręczna, a przytem zarozumiała i dumna, rządzona ambitnym i przebiegłym ojcem, Woroncowa potrafiła znowu przyciągnąć do siebie cara i zmuszała go bądź natrętnem domaganiem się, bądź łajaniem, bądź nareszcie pięściami i policzkowaniem, aby dotrzymał przyrzeczenia i ożenił się z nią a potem posadził na tronie wszechrossyjskim, zamiast Katarzyny. Zuchwałe te nadzieje wzbijały ją w dumę i była tyle nieostrożną, że wypowiadała je głośno, co ją ostatecznie zgubiło; w tym samym bowiem czasie, gdy ojciec ze swymi przyjaciółmi usiłował ze zdwojoną gorliwością oczyścić dla niej drogę do tronu, obudziła się czujność w przeciwnym obozie, do którego ogółem przystąpili nietylko nieprzyjaciele przyszłej wielkości Woroncowych, ale i ci wszyscy, którzy nie byli za carem.

Piotr III niemniej był nieostrożnym jak hr. Woroncowa, gdyż zdawał się potakiwać rozsiewanym przez nią pogłoskom, a nawet nie ukrywał się ze swym zamiarem wzięcia rozwodu z Katarzyną i ogłoszenia młodego Pawła, jako pochodzącego z nieprawego łoża. By zaś usprawiedliwić tę swoją samowolę, zamyślał ogłosić przed narodem małżeńskie wiarołomstwa Katarzyny, spodziewając się pozyskać w ten sposób uznanie nietylko Rossjan ale i całej Europy.

Ostatecznie do tego kroku popchnęła go hr. Woroncowa, która nasłuchawszy się od ojca o pierwszych stosunkach Sołtykowa z cesarzową, opowiedziała wszystko cesarzowi, który wskutek tego postanowił nie tylko ogłosić ks. Pawła bastardem, lecz zarazem pozbawić go następstwa tronu. W tym zamiarze powołał Sałtykowa z Hamburga gdzie ten stale przebywał. Od początku wysłania go przez Elżbietę, car obsypywał dawnego szambelana łaskami, dobrodziejstwami, słowem wszystkiem, co tylko mogło skłonić go do przyznania się do pierwszego stosunku miłośnego z Katarzyną. Cały dwór był zdania, że Sałtyków, czy to zachęcony widokiem świetnej przyszłości, czy z obawy przed grożącą ciężką karą, słowem, czy tak czy owak, przyzna się przed carem. Piotr był również przekonania, że jego dawny szambelan nie ukryje przed nim prawdy. Dwór i cesarz mieli słuszność; pozostawała jedyna jeszcze przeszkoda: obranie nowego następcy tronu.

Pomimo otwartego stosunku Piotra III z Woroncową i jedną tancerką peterburskiego teatru, car nie mógł doczekać się syna. Widząc swoje nieszczęście, a myśląc nieustannie o zastąpieniu Pawła, powziął arcydziwne postanowienie. Oto chciał przybrać za syna ks. Jana, zdetronizowanego przez Elżbietę, i ogłosić następcą tronu, ożeniwszy go wprzód z młodą księżniczką Holsztejn Bejską, mieszkającą podówczas w Petersburgu, do której car był bardzo przywiązany. W tym celu potajemnie udał się do Szlüsselburskiej fortecy, aby zobaczyć się z uwięzionym księciem, i nie dawszy się poznać, zbadać wpierw, czy będzie zdolny do objęcia wysokiego stanowiska na które zamierzał go wynieść.

Jan III był jeszcze dzieckiem podczas zamięszek z r. 1741, które wprowadziły na tron Elżbietę, a jego samego wraz z matką, rejentką Anną, wtrąciły do więzienia Szlüsselburskiego. Na początku buntu, żołnierze, gdy weszli do dziecka cesarza, znaleźli je śpiącem; czekali więc tak długo dopóki się nie obudzi, by je odnieść Elżbiecie. Carowa wzięła chłopca na ręce i uściskała; a gdy spostrzegła uśmiech na jego ustach spowodowany krzykiem hura! rozlegającym się po zamku, nie mogła powstrzymać się od słów:

— Niestety! biedne dziecię, nie wiesz, że te okrzyki radości pochodzą właśnie od tych, co cię tronu pozbawili!

Ks. Jana najprzód przewieziono z rodzeństwem ze Szlüsselburga do fortecy w Rydze, ztamtąd do twierdzy w Dinamündzie, a potem do Ranjenburga, miasta Razańskiej gubernji, zbudowanego przez Mieńszikowa. Tam ks. Jana rozłączono z jego rodziną, którą wysłano do Chołmogorów. Mnich jeden, który miał swobodny wstęp do więzienia ks. Jana, wyniósł chłopca z Ranjenburga, w zamiarze wywiezienia go do Niemiec; w Smoleńsku jednak został schwytany; wtedy zamknięto księcia w klasztorze w pobliżu Wałdaju, niedaleko od moskiewskiego traktu. Carowa Elżbieta zapragnąwszy go drugi raz widzieć, kazała przywieść do Szlüsselburga. Potajemnie sprowadzono go do domu Piotra hr. Szuwałowa, gdzie carowa, ukrywając swoje imię, rozmawiała z nim bardzo długo. Jan miał wtenczas około 16 lat; był pięknego wzrostu, miał wybitne rysy twarzy, jasne włosy i bardzo przyjemny głos. Chociaż Elżbieta rozmawiając, wiele płakała, nie przeszkodziło to jednak, aby go napowrót nie kazała odwieść do ciemnego więzienia, gdzie po sześciu latach odwidził go Piotr III.

(C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ II.

Opuszczony.

ROZDZIAŁ I.

(Z powodu ziarnka śrótu. — Budowa łodzi. — Łowy. — Na wierzchołku kaurisa. — Nie ma dowodu na obecność człowieka. — Wyprawa na ryby Naba z Harbertem. — Przewrócony żółw. — Zniknął. — Jak to o'jaśnił Cyrus Smith.)

Siedm miesięcy minęło od dnia, gdy osadnicy nasi spadli z balonu na wyspę Lincolna. Przez cały ten czas, mimo tylu poszukiwań, nie napotkali ludzkiej istoty. Najmniejszy obłoczek dymu nie zdradził obecności człowieka na powierzchni wyspy; żadna praca ręczna nie wskazywała przejścia jego przez nią w epoce dawnej lub w nowszych czasach. Wyspa Lincolna nie tylko nie zdawała się zamieszkaną, ale sądzić należało, że nigdy nią być nie mogła. A oto naraz całe to rusztowanie rozumowań rozsypało się wobec maleńkiego ziarnka kruszcu, znalezionego w ciele niewinnego gryzunia!

Bo też ołów ten zaiste wypadł z broni palnej, a do kogoż innego jeżeli nie do człowieka ta broń należeć mogła?

Skoro Pencroff złożył ziarnko śrótu na stole, towarzysze jego popatrzyli na nie z najgłębszem podziwieniem. Wszystkie następstwa tego zdarzenia, tak ważnego pomimo pozornej drobnostkowości, przedstawiły się naraz ich umysłowi. Zaiste, nagłe pojawienie istoty nadprzyrodzonej nie byłoby ich żywiej poruszyło.

Cyrus Smith pierwszy, nie wahając się, streścił przypuszczenia, które fakt ten równie zadziwiający, jak niespodziewany, w duszach wszystkich musiał obudzić. Pochwyciwszy ziarnko śrótu, obrócił je na wszystkie strony, obmacał, trzymając pomiędzy wielkim a wskazującym palcem i wreszcie rzekł, zwracając się do Pencroffa.

— Czy możesz z pewnością twierdzić, że pekari raniony tem ziarnkiem śrótu miał zaledwie trzy miesiące?

— Tak jest, panie Cyrus, zaledwie — odpowiedział Pencroff. — Ssał jeszcze matkę, gdym go znalazł w dole.

— Dowodzi to więc — rzekł inżynier — że najwyżej przed trzema miesiącami padł wystrzał z broni palnej na wyspie Lincolna.

— I że jedno ziarnko ołowiu — dodał Gedeon Spilett — ugodziło, ale nie śmiertelnie, w to małe zwierzątko.

— Tak, to nie podlega wątpliwości — ciągnął dalej Cyrus Smith — a przypuszczenia, jakie można oprzeć na tym wypadku są następujące: albo wyspa ta była zamieszkaną przed naszem przybyciem, albo ludzie wylądowali na nią co najwięcej od trzech miesięcy. Znaleźliż się ci ludzie tutaj dobrowolnie, czy też wbrew swojej woli; przez proste wylądowanie, czy przez rozbicie? Kwestję tę dopiero kiedyś będzie można rozstrzygnąć. Co zaś do ich pochodzenia: czy to byli Europejczycy, czy Malajczykowie, wrogowie czy przyjaciele naszej rasy, nic nam nie daje podstawy do odgadnięcia tego; jak również nie wiemy, czy zamieszkują jeszcze tę wyspę, czy też ją opuścili. Wszystkie te kwestje jednak mają dla nas zbyt wielkie znaczenie, ażebyśmy dłużej co do nich pozostać mogli w wątpliwości.

— Nie!... sto razy nie! tysiąc razy nie! — wykrzyknął marynarz, podnosząc się od stołu. Nie ma innych ludzi oprócz nas na wyspie Lincolna! Cóż u djabła! Wyspa nie jest przecież tak wielka, gdyby więc była zamieszkaną, musielibyśmy byli już spostrzedz któregoś z mieszkańców!

— Istotnie, inaczej rzecz byłaby arcydziwną — rzekł Harbert.

— Ale o wiele jeszcze byłoby dziwniejszem, jak mi się zdaje — zauważył korespodent — gdyby ten mały pekarys ulągł się z ziarnkiem śrótu w ciele.

— Chyba że — odezwał się poważnie Nab — chyba że Pencroff miał już...

— Co?! — przerwał mu Pencroff. — No patrzajcież, więc jabym miał nosić, od jakich pięciu czy sześciu miesięcy ziarnko śrótu w szczęce, ani się tego nie domyślając. Ależ gdzieby ono siedziało? — dodał otwierając usta w ten sposób, iż odsłoniły trzydzieści dwa przepysznych zębów. Przyjrzyjno się dobrze, Nabie, a jeżeli znajdziesz jeden ząb spróchniały w całej mojej jadaczce, pozwalam, abyś mi ich wyrwał pół tuzina.

— Hypoteza Naba jest w istocie niemożebną — odrzekł Cyrus Smith — mimo całej ważności zajmujących go myśli, nie mogąc się wstrzymać od uśmiechu. Pewnikiem jest, że jeden strzał z broni palnej padł na tej wyspie w przeciągu ostatnich trzech miesięcy najwyżej. Ja byłbym skłonny do sądzenia, iż osobistości, które wylądowały na tę wyspę, albo bawią na niej od bardzo niedawna, albo też zajrzały tylko do niej; gdyby bowiem w epoce, gdyśmy rozpatrywali wyspę Lincolna ze szczytu góry Franklina, ktoś się tu znajdował, bylibyśmy go spostrzegli, lub sami bylibyśmy postrzeżeni. Prawdopodobnem jest tedy, że kilka tygodni temu dopiero, rozbitki zostali wyrzuceni przez burzę na któryś z punktów wybrzeża. Tak jednak, czy owak, musimy uzyskać pewność pod tym względem.

— Sądzę, że trzeba będzie działać rozważnie!

— I ja tak myślę — odrzekł Cyrus Smith — na nieszczęście bowiem zachodzi słuszna obawa, aby to nie byli piraci malajscy, ci goście naszej wyspy.

— Panie Cyrus — spytał marynarz — czyby nie było pożyteczną rzeczą, przed wybraniem się na te odkrycia, zbudować łódź, przy pomocy której moglibyśmy bądź to popłynąć w górę rzeki, bądź też okrążyć wybrzeże. Nie należałoby się dać wziąć znienacka.

— Pomysł twój wyborny, Pencroffie — odrzekł inżynier — ale my czekać nie możemy. A tymczasem potrzebaby co najmniej miesiąc na zbudowanie łodzi...

— Prawdziwej łodzi, niewątpliwie — odparł marynarz — ale nam potrzeba tylko jakiegokolwiek statku, któryby się utrzymał na morzu, a taki ja się obowiązuję zbudować najdalej w pięć dni, dostateczny do żeglugi po Dziękczynnej.

— W pięć dni — wykrzyknął Nab — zbudować łódź?

— Tak jest, Nabie, łódź na sposób indyjski.

— Z drzewa? — spytał Nab z miną bardzo wątpiącą.

— Z drzewa — odrzekł Pencroff — a raczej z kory. Powtarzam panu, panie Cyrus, że w pięć dni z taką robotą można się uwinąć.

— W pięć dni, zgoda! — odpowiedział inżynier.

— Ale do tego czasu dobrze będzie zachować ostrą baczność! — rzekł Harbert.

— Jak najostrzejszą, moi przyjaciele — odpowiedział Cyrus Smith — i dla tego będę was prosił, abyście ograniczyli swoje wycieczki myśliwskie na okolicach Pałacu Granitowego.

Objad skończył się mniej wesoło, aniżeli Pencroff się spodziewał.

Tak więc, wyspa ta miała obecnie, lub w przeszłości innych mieszkańców, oprócz naszych osadników. Od czasu przypadku z ziarnkiem śrótu, był to fakt niezaprzeczalny, a podobne odkrycie mogło tylko żywy niepokój obudzić w umyśle osadników. Cyrus Smith i Gedeon Spilett, przed zaśnięciem szeroko jeszcze o tej kwestji rozmawiali. Rozważali, czy przypadkiem zdarzenie to nie ma jakiego związku z niewyjaśnionemi okolicznościami ocalenia inżyniera i z innemi dziwnemi szczegółami, które już ich kilkakrotnie uderzyły. Jednakże Cyrus po rozważeniu wszystkich za i przeciw w tej sprawie, odezwał się wreszcie:

— Koniec końców, czy chcesz poznać moje zdanie, drogi panie Spilett?

— Tak, Cyrusie.

— A więc posłuchaj: mimo najściślejszego poszukiwania na wyspie, nic nie znajdziemy!

Zaraz następnego dnia Pencroff zabrał się do roboty. Nie szło tu o zbudowanie łodzi z kompletnem klepkowan em i pomostem, ale o prosty przyrząd unoszący się nad wodą, o płaskiem dnie, odpowiedni do żeglugi po Dziękczynnej, szczególniej w pobliżu jej źródeł, gdzie woda była bardzo płytka.

Kawałki kory, przymocowane do siebie, wystarczały do utworzenia takiego maleńkiego statku, mającego jeszcze i tę dogodność, iż w razie gdyby dla przeszkód naturalnych przeniesienie go stało się koniecznem, niewielki ciężar i rozmiar jego znacznie ułatwiał tę pracę. Pencroff postanowił połączyć te kawałki kory za pomocą zanitowanych gwoździ i przez szczelne ich przypasowanie uczynić przyrząd doskonale nieprzemakalnym.

Szło tedy o wyszukanie drzew, których kora giętka a silna, najlepiejby się nadawała do takiego użytku. Otóż, jak na to, ostatni huragan zwalił pewną ilość jodeł, odpowiadających zupełnie temu celowi. Kilka z nich leżało na ziemi; pozostawało więc tylko obedrzeć je z kory, ale tu właśnie zachodziła główna trudność: narzędzia bowiem, jakie posiadali osadnicy, były niedostatecznemi do takiej pracy. I na to jednak wreszcie znalazła się rada.

Podczas gdy marynarz, przy pomocy inżyniera zajmował się tą robotą, nie tracąc ani godziny; Gedeon Spilett i Harbert także nie próżnowali. Stali się dostarczycielami żywności dla osady. Korespondent nie mógł się dostatecznie nadziwić zadziwiającej zręczności w używaniu łuku i oszczepu, nabytej przez tego chłopca. Harbert okazywał również wielką odwagę, wraz z tą krwią zimną, którąby można słusznie nazwać „wyrozumowanem zuchwalstwem.“ Dwaj ci towarzysze łowów, pamiętni zresztą na zalecenie Cyrusa Smitha, nie wychodzili po za promień dwumilowy obrębu Pałacu Granitowego; i to jednak wystarczało, brzegi bowiem lasu dawały im dostateczną ilość agoutisów, kabyjasów, kan-

gurów, pekarysów itd.; a przytem, jakkolwiek zysk z połapek stał się bardzo nieznacznym od czasu ustania zimna, królikarnia nie przestała dostarczać zwykłej daniny mięsiwa, dostatecznej do wyżywienia całej osady na wyspie Lincolna.

Często kroć, wśród tych łowów, Harbert wdawał się w rozmowę z Gedeonem Spilettem o owem ziarnku śrótu i o wnioskach, jakie z tego zdarzenia wyciągnął inżynier, i jednego dnia, było to 26. października — rzekł:

— Jednakże, panie Spilett, czy ci się to nie wydaje nadzwyczaj osobliwem, że rozbitki — jeżeli wylądowali jacy na naszą wyspę, nie pokazali się dotychczas w okolicach Granitowego Pałacu?

— Istotnie dziwne to bardzo — odparł korespondent — jeżeli tu się jeszcze znajdują; ale nic w tem zgoła dziwnego, jeżeli już ich nie ma!

— Sądzisz więc pan, że ci ludzie opuścili już wyspę? — spytał Harbert.

— To więcej niż prawdopodobne, mój chłopcze, gdyby bowiem znajdowali się tu przez czas dłuższy, lub przebywali jeszcze obecnie, jakaś okoliczność zdradziłby musiała wreszcie ich bytność.

— Jeżeli jednak mogli się ztąd oddalić — zauważył młody chłopiec — nie byli to więc rozbitki?

— Nie, Harbercie, albo przynajmniej byli to, że się tak wyrażę, rozbitki chwilowe. Możebną jest w istocie rzeczą, że burza wyrzuciła ich na tę wyspę, nie popsuwszy im statku, i że po jej przejściu, puścili się znowu na morze.

— Przyznać potrzeba jedno — rzekł Harbert — że pan Smith zdawał się zawsze więcej obawiać aniżeli pragnąć obecności istot ludzkich na naszej wyspie.

— W samej rzeczy — odparł korespondent — nie przypuszcza on bowiem, ażeby kto inny kręcić się mógł po tych morzach, oprócz Malajczyków, złośliwych urwisów, których warto unikać.

— Nie jest niemożebną rzeczą, panie Spilett — ciągnął dalej Harbert — że dziś lub jutro natrafimy na ślady wylądowania tych ludzi i uzyskamy raz wreszcie pewność pod tym względem.

— Bardzo być może mój chłopcze. Opuszczone obozowisko, ognisko wygasłe, mogą nas naprowadzić na ich ślady, i tego to właśnie szukać będziemy w czasie naszej najbliższej wyprawy.

W dniu, gdy dwaj myśliwcy prowadzili taką rozmowę, znajdowali się właśnie w części lasu, przylegającego do Dziękczynnej i odznaczającego się nader pięknemi drzewami. Pomiędzy innemi, wznosiły się tutaj, wysokie na dwieście stóp prawie, niektóre z owych szyszkowców, zwanych pospolicie „kaurisami“ przez mieszkańców Nowej-Zelandji.

— Przychodzi mi jedna myśl, panie Spilett — rzekł Harbert. — Gdybym też wszedł na wierzchołek jednego z tych kaurisów, mógłbym tym sposobem rozejrzeć się po okolicy na znacznej przestrzeni?

— Myśl to wcale dobra — odrzekł korespondent — idzie tylko o to, czy potrafisz wdrapać się aż na wierzchołek jednego z tych olbrzymów?

— Sprobuję w każdym razie — odparł Harbert.

Poczem silny i zręczny, pochwycił za pierwsze gałęzie, których położenie czyniło dosyć łatwem wdrapywanie się na drzewo, i w kilka chwil dostał się na szczyt, wystercżający nad tą niezmierną płaszczyzną zieleni, którą tworzyły zaokrąglone korony lasu.

Z tego wyniosłego punktu, można było objąć wzrokiem całą przestrzeń południową wyspy, od przylądka Ostrego Szponu do przylądka Wężowego w kierunku południowo-zachodnim. Na północo-zachód wznosiła się góra Franklina, zasłaniająca znaczną część widnokręgu.

Ale Harbert, z wysokości swego obserwatorjum, mógł rozejrzeć się szczególniej po tej nieznanej części wyspy, dającej lub mogącej dawać schronienie obcym, których obecność podejrzewano.

Młody chłopiec rozglądał się z najwyższą uwagą. Po morzu najprzód, ale nic na niem nie było widać. Żadnego żagla, ani na widnokręgu, ani w punktach sposobnych do wylądowania na wyspę. Ponieważ jednak gęstwina drzew zasłaniała w części wybrzeże, możebnem było, iż okręt, szczególniej zaś okręt pozbawiony ożaglowania, przybił blisko do lądu i tym sposobem był niewidzialnym dla Harberta.

W pośród lasu Zachodniej Ręki nic także nie było widać. Las ten tworzył nieprzebite sklepienie, wynoszące wiele mil kwadratowych, bez jednej polanki, bez najmniejszej rzedzizny. Niemożebną było nawet, iść w ślad za biegiem Dziękczynnej i rozpoznać punkt góry, zkąd ta rzeka brała początek. Być może, że i inne wody wypływały ztamtąd ku zachodowi, ale sprawdzić tego nie podobna było żadnym sposobem.

Przynajmniej, jeżeli wszelki ślad obozowiska uchodził uwadze Harberta, czyż nie mógł on pochwycić okiem w powietrzu chociażby jakiego dymu, zdradzającego obecność człowieka? Atmosfera była czysta i najmniejszy wyziew byłby się ostro zarysował na tle nieba.

Przez chwilę zdawało się Harbertowi, że spostrzega leciuchny dym, wznoszący się na zachodzie, ale uważniejsze wpatrzenie się przekonało go, że się mylił. Wytężył zwrok z niezmierną siłą, a miał wyborny. Nie, stanowczo nic tam nie było.

Zeszedł więc z kaurisa i nasi dwaj myśliwcy powrócili do Pałacu Granitowego. Tam, Cyrus Smith, wysłuchawszy opowiadania młodego chłopca, potrząsł głową i nic nie rzekł. Jawnie się okazywało, iż niepodobna było nic wyrzec stanowczego o tej sprawie przed zbadaniem wyspy w całości.

W dwa dni potem — 28. października — zdarzył się inny wypadek, którego wyjaśnienie również wiele do życzenia pozostawiało.

Błądząc po wybrzeżu, o dwie mile od Granitowego Pałacu, Harbert i Nab szczęśliwie trafili na przepyszną zdobycz. Był nią żółw z gatunku olbrzymiego, w skorupie przedstawiającej świetne zielonawe odcienia.

Harbert spostrzegł go, w chwili gdy żółw przemykał się ku morzu.

— Na pomoc, Nabie, na pomoc! — zawołał.

Nab przybiegł.

— Co za piękne zwierzę! — rzekł — ale jak sobie z niem poradzić....

— Nic łatwiejszego, Nabie, — odrzekł Harbert. Przewrócimy go na grzbiet i tym sposobem uciec już nam nie zdoła. Weź no oszczep i pomóż mi.

Płaz, czując niebezpieczeństwo cofnął się w swoją skorupę. Nie widać mu już było głowy, ani nóg i leżał nieruchomy, jak skała.

Tymczasem Harbert i Nab podłożyli okute drążki swoje pod mostek zwierzęcia i połączonemi siłami nie bez trudności zdołali je na grzbiet przewrócić. Żółw ten, długi na trzy stopy, musiał ważyć co najmniej czterysta funtów.

— Wybornie! — zawołał Nab, — otóż to będzie pociecha dla druha Pencroffa.

W istocie druh Pencroff musiałby się tem ucieszyć, ponieważ mięso tych żółwi, żywiących się ziołami, ma nadzwyczaj wyborny smak. W tej chwili powód tej przyszłej pociechy marynarza, pokazywał tylko główkę maleńką, spłaszczoną — ale bardzo rozszerzoną z tyłu przez wielkie zagłębienia skroniowe, ukryte pod kościstem sklepieniem.

— A teraz cóż poczniemy z tą naszą zwierzyną? — rzekł Nab. — Nie zdołamy jej przecież zaciągnąć aż do Granitowego Pałacu.

— To też zostawimy ją tutaj — odparł Harbert — i pewni, że nie ucieknie, bo nie może się obrócić, powrócimy po nią z wózkiem.

— Tak będzie najlepiej.

Nim jednak odeszli, dla większego bezpieczeństwa, Harbert wziął się na sposób, który Nabowi wydał się zbytecznym i podparł zwierzę wielkiemi głazami. Poczem, obadwaj myśliwcy powrócili do Pałacu Granitowego wybrzeżem, które właśnie szeroko odkryło morze w odpływie. Harbert, chcąc sprawić niespodziankę Pencroffowi, nic nie wspomniał o tej świetnej zdobyczy zostawionej na piasku; w dwie godziny potem nasi myśliwcy przybyli z wózkiem na miejsce, gdzie żółw ich oczekiwał. Niestety już go tam nie było!

Nab i Harbert spojrzeli naprzód na siebie, a potem w koło siebie. Przecież tutaj a nie gdzieindziej zostawili żółwia. Młody chłopiec odnalazł nawet głazy, których użył i tym sposobem upewnił się, że się co do miejsca nie myli...

— Hę?... więc te bydlęta umieją się obrócić same, — rzekł Nab....

— Tak się zdaje, — odrzekł Harbert, nie pojmując tego wypadku i przypatrując się głazom rozrzuconym po piasku.

— No, ale co pan Pencroff, to nie będzie rad temu!

— A pan Smith będzie w niemałym kłopocie, jeżeli zechce wytłumaczyć to zniknięcie! — pomyślał Harbert.

— Ba! — odezwał się Nab, pragnący ukryć tę niemiłą przygodę — nie wspominajmy o tem!

— Przeciwnie, Nabie — wspomnimy i to szczegółowo, — odrzekł Harbert.

I obadwaj, wziąwszy wózek niepotrzebnie sprowadzony, powrócili do Granitowego Pałacu.

Tu, przybywszy do warstatu, kędy marynarz i inżynier pracowali społem, Harbert opowiedział całe zdarzenie.

— Ach! niezgrabiasze! — zawołał marynarz. — Wypuścić z rąk pięćdziesiąt zup co najmniej!

— Ależ Pencroffie, — odciął się Nab — nie wyrzucaj nam, że zwierzę uciekło, kiedy ci powiadam, żeśmy je na grzbiet przewrócili!...

— Nie musieliście go więc przewrócić dostatecznie, — zawołał żartobliwie nieubłagany marynarz.

— Niedostatecznie — zaprotestował Harbert.

I opowiedział o tem, jak podparł żółwia głazami.

— Więc to cud chyba! — rzekł Pencroff.

— Zdawało mi się, panie Cyrus, — rzekł Harbet, — że żółwie raz przewrócone na wznak,

nie mogą spaść własną siłą na nogi, szczególniej jeżeli są tak duże.

— I słusznie ci się zdawało, moje dziecko, odpowiedział Cyrus Smith.

— A więc, jakże się mogło stać?....

— W jakiej odległości od morza zostawiliście tego żółwia? — spytał inżynier, zawiesiwszy robotę i namyślając się widocznie nad tym wypadkiem.

— O piętnaście stóp, co najwięcej, — odpowiedział Harbert.

— I odpływ był właśnie w tej chwili.

— Tak jest, panie Cyrus.

— No, więc czego żółw nie mógł dokonać na piasku, prawdopodobnie dokonał w wodzie. Gdy go przypływ uniósł, obrócił się i popłynął najspokojniej na szerokie morze....

— Ach, jacyż z nas niezgrabiasze! — zawołał Nab.

— To właśnie miałem zaszczyt już wam powiedzieć — rzekł Pencroff.

Cyrus Smith podał to objaśnienie, niewątpliwie możebne. Byłże jednak sam silnie przekonany o jego prawdziwości? Nie ośmielilibyśmy się za to zaręczyć. (C. d. n)

Wstęp z poematu

Teofila Gautier

Komedja śmierci.

Niechaj z was żaden, słuchacze moi,
U smętnych książki stając podwoi,
Nie bluźni szat jej żałobie!
Niestety, wszystko, co w górę strzela,
Tak pomnik żalu, jak i wesela,
Szuka podwalin swych w grobie.

Niestety, wszystko lotne w obłoki,
I smukła wieża i dąb szeroki,
Zanim wyrośnie z nad ziemi —
Musi wprzód w głąb, jej zagrząść na tyle,
Musi w otchłani, musi w mogile,
Stopami utknąć swojemi.

I to, co w górze jasne a czyste,
Białe marmury, krzyże złociste,
Las minaretów a wieży —
To wsparte w dole na ciasnej celi,
Kędy w całunów chłodnej pościeli,
Z rękami na krzyż, trup leży.

I to co w górze rozpromienione,
Główki aniołów w wianek splecione,
I rzeźb misterne przędziwa —
To wsparte w dole na czarnym lochu,
Gdzie w wiecznych cieniach i w wiecznym prochu
Proch stu pokoleń spoczywa.

Więc i ta książka wszechprawu gwoli,
Stopą swą grzęznąc w cmentarnej roli,
Grobowym wlokąc się dołem —
Głową się wspina, wspina do góry,
Aż w ideału wzleci lazury,
Aż się podźwignie kościołem.

Paryż d. 10 lipca 1875. Naśladował *J. S. Chamiec.*

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

Wieczorem, wskutek zaproszenia pani Zameckiej, Wacław był na herbacie, na którą przybył także i p. Zgorzelski, w pilnym interesie wracający do miasta, chociaż zaledwie rano ztamtąd powrócił. Młodszy nasz bohater był jak zwykle, małomownym i roztargnionym, starszy natomiast błyszczał tym razem niezwykłą werwą, a panna Wanda oczu z niego nie spuszczała. Wyłączne to jej zajmowanie się p. Alfredem było tak uderzającem, że Wacław mimo roztargnienia swojego zrozumiał, dlaczego pani Zamecka miała w twarzy jakiś uśmiech dobrodusznie złośliwy, i dlaczego trąciła go raz lekko ręką w sposób znaczący. Zdarzyło się nakoniec, że Wandzia musiała wyjść do kredensu, wydać jakieś polecenie służbie. Wówczas pani Helena pół żartem, a pół serjo zwróciła się do p. Alfreda.

— Ależ, panie Zgorzelski, potrzeba nie mieć Boga w sercu, aby tak bałamucić biedną dziewczynę!

— Nie mieć czego w sercu, proszę pani?

— Namyśl się pan, czego, a tymczasem przyniosę panu rachunek ze składki na szpital w Korytnicy, który mi pan dałeś dziś rano. Już go przejrzałam i podpisałam.

A, więc to był rachunek ze składki ten papier, który p. Alfred doręczył pani Zameckiej, gdy się z nią rozstawał, wyjechawszy z lasu! — pomyślał Wacław, dziwiąc się teraz, jak go mógł na razie zastanowić szczegół tak zwykły i naturalny. Co do mnie, dziwi mię raczej nadzwyczajne podobieństwo, zachodzące między tym rachunkiem, a pewnym konsensem tabularnym, który p. Alfred przywiózł był z miasta, i który wyszedł był z pod pióra p. Gomułowicza. Albo też, ściśle rzecz wziąwszy, podobieństwo to nie dziwi mię wcale.

— Nie mieć Boga w sercu! powtórzył p. Alfred po odejściu pani Zameckiej. Przyznasz pan, panie Roliński, że kobiety są czasem nudne z temi swojemi religijnemi frazesami.

— Nie lubię frazesów, odparł Wacław, ale nie lubiłbym także kobiety bez religji.

— A panią Helenę, jak pan znajdujesz? No, nie taj się pan, uważałem, że zrobiła na panu pewne wrażenie.

— Panie...

— No, no, wolne żarty. Swoją drogą atoli nie da się zaprzeczyć, że udało się panu pozyskać w wysokim stopniu względy pani Zameckiej. Wyraża się o panu tak pochlebnie, że bałbym się o pana, gdybym nie wiedział, że pani Helena ma „Boga w sercu.“ Chachacha! Boga w sercu!

— Czy pan nie wierzysz w Boga? zapytał zimno Wacław, trochę zniecierpliwiony poufałym tonem, jaki przybrał był p. Alfred.

— Wierzę tylko w jednego Boga, a tym jest honor, panie Roliński. Honor jest moją wiarą, której odebrać sobie nie dam inaczej, jak tylko wraz z życiem.

Był to piękny sentyment, powiedziany tonem tak przekonywającym, że Wacław zmiękł i powziął o p. Alfredzie przekonanie, iż jest to człowiek światowy, lekkomyślny, ale z gruntu uczciwy. Zapytał więc spokojnie:

— Dla czegoż pan zdajesz się powątpiewać, by p. Zamecka miała „Boga w sercu?“ Być może, iż państwo jesteście oboje jednej wiary.

— Ale innego wyznania. Kobiety, mój panie, obchodzą się bardzo *cavalièrement* ze swoim Bogiem. Jest on zawsze takim, jakim, go mieć chcą — czasem widzi wszystko i jest okropnie surowym, a czasem patrzy przez palce, osobliwie gdy mu jako miejsce pobytu wyznaczą serce. Ten „Bóg w sercu“ bywa bardzo pobłażliwym; przypuszczam, że Bóg pani Zameckiej może być także takim — więcej niż przypuszczam, sądzę, domyślam się, ledwie nie wiem. Skorzystaj pan z nudów na wsi, i staraj się pan zbadać naturę tego Boga.

Powrót panny Wandy przerwał dalszą rozmowę, i dał Wacławowi czas do zrobienia drugiej tego dnia refleksji, która tym razem brzmiała:

— Czego oni chcą odemnie?

Nie długo wszakże zastanawiał się nad tem pytaniem. Wróciwszy na plebanję, zastał tam kosztorys tartaku p. Zameckiego, portret i rysunek Helenki, i dumkę, którą dumał zwykle, zawsze jednę i tę samą. Dla stojącego na uboczu byłoby rzeczą jasną, że w tym wypadku wielki talent strategiczny i znakomita wprawa taktyczna rozbiły się o opór bierny i nieświadomy siebie, ale niezłomny. Nie jeden byłby już marzył słodko o zwycięztwie niechcąc odniesionem, byłby tonął w roskoszy, jaką sprawia zadowolona miłość własna, i byłby wpadł w zasadzkę. Wacław marzył o czem innem, tonął w innych myślach, i dla tego też ledwie nawiasem zadał sobie pytanie, czego chcą od niego — poczem wrócił ciałem do swojego kosztorysu, a duszą do swoich dumań.

Zastał go w ich towarzystwie p. Tadeusz, gdy wyprawiwszy żonę w misji do p. Alfreda, zawitał na probostwo. Przyszły właściciel tartaku parowego miał jakąś niezmiernie zdradziecką i wyrafinowaną minę, gdy pytał o swój kosztorys i o plany. Słuchał z wielką uwagą spostrzeżeń, jakich mu w tej mierze udzielił Wacław, i oświadczył uroczyście, że radby z nich korzystać, w którym też celu proponuje p. Rolińskiemu kierownictwo robót. Wacław zaledwie wierzył swoim uszom, tak świetną była ta propozycja dla młodego człowieka, rozpoczynającego karjerę. Czując się wszelako na siłach, iż sprosta temu zadaniu, przyjął z podziękowaniem, i z ochotą podpisał układ, na prędce przez p. Zameckiego skreślony. Układ ten różnił się od innych tego rodzaju tem, że podczas gdy p. Zamecki w razie niedotrzymania umowy ze swojej strony zapłacić miał znaczną sumę, p. Roliński obowiązywał się tylko słowem honoru, iż stawiać będzie tartak, póki go nie postawi. Nie robiono nawet drugiego odpisu, oryginał został w ręku Wacława.

— Ja mam pańskie słowo, to mi wystarcza. Gdybyś go pan nie dotrzymał, na niczby mi się nie przydał dokument. A teraz ponieważ pani Zamecka na cześć mojego powrotu daje objad, ponieważ posłałem już konie po dr. Chimerskiego do Korytnicy, i ponieważ ksiądz Chyżycki nie może się wymówić od udziału w tej uroczystości klubowej, więc chciej pan także należeć do naszego towarzystwa. Pokażę panu ciekawy a śliczniutki aparat, który przywiozłem z miasta, a który pana szczególnie zainteresuje, jako młodego technika.

— Aparat? Jakiego rodzaju?

— Tak, aparat. Aparat elektro-medyczny, służący do przyspieszania pulsu. Co mówiąc, p. Tadeusz mrugnął nieznacznie do ks. Chyżyckiego,

a ks. Chyżycki zażył tabaki, i poczęstował nią p. Zameckiego, co zwykł był czynić, ile razy był zadowolonym z kogo. A ponieważ ksiądz proboszcz nie był wymagającym, więc tylko jeden ksiądz jezuita Kriechewitz, gdy raz dostał kataru, musiał go aż sam prosić o szczyptę tabaki.

Dr. Chimerski przybył już był, i znajdował się z damami w salonie wychodzącym na werandę. Salon ten odnaczał się pożądanym w lecie chłodem i półcieniem, ale p. Tadeusz miał wzrok doskonały i nie przeoczył żadnego szczegółu, który go zajmował. Warto było widzieć, jak stał z rozpromienioną twarzą, i trącał proboszcza łokciem, kiedy po wejściu panów do pokoju, Helenka na wpół podniosła się z miejsca, i usiadła napowrót, cała oblana szkarłatem, podczas gdy Wacław miał minę nie technika, który ukończył studja z odszczególnieniem, ale technika, któremu właśnie profesor Żmurko dowodzi jak na dłoni, że nie ma najmniejszego wyobrażenia o wyższej analizie, i że powinien zgłębić lepiej tajniki rachunku różniczkowego i całkowego. Wacław zrobił nawet ruch, jak gdyby chciał zastosować się do tego fatalnego położenia, i odejść w największej konfuzji, ale nie uczynił tego, i tylko skłonił się jak najzimniej i jak najsztywniej mógł. Przedstawiono Helence proboszcza, a po nim przyszła kolej na jego wychowanka.

— Ja znam pana Wacława, odpowiedziała szybko, i zapomniała dodać: Rolińskiego. Kiedy sobie przypomniała, było już za późno.

— Ja... mam przyjemność... znać pannę Grodecką, potwierdził Wacław tonem, któregoby sobie od niego mógł był pożyczyć notarjusz, dyktujący legalizację jakiego aktu. Jedyną różnicą byłoby, że notarjuszom nie zwykły łzy kręcić się w oczach przy takich sposobnościach, i że nie kąsają się w usta, ażeby stać się panami siebie samych.

Naraz, Helenka wstała z miejsca, przeszła szybko przez pokój, i przystąpiwszy do Wacława, podała mu rękę. Ani się spostrzegł, kiedy tę rękę podniósł do ust i pocałował.

— Tak dawno... wygłosił sentencjonalnie, i byłby zapewne dodał: nie miałem przyjemności, gdyby mu nie brakło tchu.

— Ach, bardzo dawno, była cicha odpowiedź, podczas gdy dr. Chimerski rozprawiał tak głośno od początku tej sceny, i wprawiał panią Zamecką w tak spazmatyczny śmiech swojemi ulubionemi paradoksami, że kto nie chciał, nie potrzebował uważać na rozmowę młodych ludzi.

— Dziewczyna rezolutniejsza od niego, szepnął p. Tadeusz proboszczowi.

— Ha, sancta simplicitas! odparł ksiądz, podając kolatorowi tabakierkę.

— Sancta, księże, sancta! powtarzał p. Zamecki, i gdyby pani Helena chciała była pojąć jeszcze lepiej niż przy pierwszym swoim wjeździe do Rymiszowa, co znaczy „dobry człowiek,“ powinnaby była przypatrzyć się zadowoleniu, jakie się malowało w twarzy jej męża z powodu tego nic nie znaczącego wypadku. Bo cóż to znaczy, że szczęście uśmiecha się młodym ludziom, którzy nas właściwie nic nie obchodzą? Nie jest-że to fraszką, że serce dziecinne na pierwszym wstępie w świat nie spotka się z goryczą zawodu, z tęsknotą nieziszczonej nadziei, z agonją żalu? Jeżeli jakiś młody technik kocha się w jakiej młodej dziewczynie, znalezionej na wsi, to można nie mieć nic przeciw temu, *mais pour en faire une affaire d'état*, potrzeba chyba czuć wielką próżnię w własnem sercu, nie mieć własnych ideałów, nie ogarniać ich tą miłością, „której wewnętrzna pobudka większą jest od jej przedmiotu.“ I potrzeba być dobrym, nieznośnie dobrym człowiekiem, takim prozaicznie dobrym, jak p. Tadeusz, biorącym wszystko tak jak ono jest, widzącym ujemne strony i przyjmującym je równie chętnie, jak dobre, nie szukającym doskonałości i nie tworzącym jej z własnych urojeń, wbrew lepszej rzeczywistej świadomości. Faktem jest wszelako, i fakt ten powtarzam raz jeszcze gołosłownie, że p. Tadeusz Zamecki dawno nie doznał był tak wielkiej radości jak teraz, kiedy mu się udało sprowadzić podstępem do jednego salonu dwoje kochanków, rozdzielonych właściwie tylko przywidzeniem i uporem z jednej strony. Na całej kuli ziemskiej, oprócz Helenki i Wacława, który był szczęśliwym mimo swej woli, nie było ludzi tak uszczęśliwionych tem spotkaniem, jak p. Tadeusz i ks. Chyżycki, chociaż ksiądz myślał już więcej tylko o szczęściu swojego wychowanka. Rodzina p. Skryptowicza byłaby także bardzo uradowaną, gdyby była obecną tej scenie, a nakoniec i p. Karol byłby może uczuł pewną satysfakcję, ale z zasady unikając „emocji,“ byłby się zapewne salwował jakim humorystycznym konceptem.

Co się tyczy mojego opowiadania, salwuje się ono hasłem danem do objadu, które jest autorowi bardzo na rękę, zważywszy, iż szczęście kochanków nawet na papierze nie może trwać bardzo długo, i że czekają nas wypadki mniej może radosnej i niewinnej natury.

(C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Najstarsze ślady istnienia człowieka w Europie.

(Ciąg dalszy).

Okres Mamuta.

Zasługuje także na wzmiankę, że obok wykazanych już gatunków, prócz rena i wołu piżmowego, które obecnie przeniosły się na północ, napotyka się także szczątki zwierząt, które znajdują się tylko w górzystościach alpejskich, jak dzika koza, cap skalny i niedźwiedziomysz. W ówczesnym okresie zamieszkiwały wszystkie te ssaki z północy i z gór Alpejskich równiny europejskie i podgórza.

Północna Ameryka posiada prawie też samą faunę ssaków z okresu potopowego, ale obok mamuta, znajduje się tam jeszcze olbrzymi mastodont (Mastodon giganteus). Wygrzebano sześć jego nieuszkodzonych prawie skieletów w roku 1845 w hrabstwie Warren, na zachód od Nowego Yorku. Jest to tak zwany zwierz z nad wybrzeży Ohio, czyli ojciec bawołów u Indjan. Gatunku tego nie ma w pokładach potopowych europejskich, ale znajdują się pomniejsze jego rodzaje w pokładach Tryasowych.

To więc, według obecnego stanu wiadomości, byli najwybitniejsi towarzysze rodzaju ludzkiego w czasach jego najdawniejszych. Tak było przynajmniej w Europie, i zaprawdę byli to olbrzymi współzawodnicy, z któremi idąc w zapasy, mógł człowiek wyrabiać w sobie olbrzymie siły fizyczne i umysłowe. Są to przeważnie owe wielkie, dziś obce nam gatunki ssaków, których szczątki wygrzebano w ostatnich latach wraz z resztkami sprzętów używanych przez najdawniejszego człowieka i z kośćmi ludzkiemi.

Jak wiele namnożyło się odkryć w czasach najświeższych w tym kierunku, najlepszym dowodem wydawane od lat pięciu w Paryżu pod redakcją pana G. Mortillet pismo pod tytułem: *Matériaux pour servir à l'histoire de l'homme* — poświęcone wyłącznie tym tylko odkryciom. Nowa ta gałęź geologji, sięgająca niemal w dziedzinę archeologji i historji, stała się teraz prawie modą. Odbywały się też o tem i odbywają liczne odczyty popularne we Francji, we wszystkich miastach znaczniejszych i w Paryżu. Od lat kilku zbierają się kongresy międzynarodowe (w Szwajcarji, Paryżu, Norwich, Kopenhadze), w których rozbierają się powyżej wspomniane i liczne jeszcze inne zagadnienia antropologiczne. Zawiązało się też kilka towarzystw, zajmujących się wyłącznie temi kwestjami, założono kilka czasopism fachowych, między wieloma ważniejsze: *Archiv für Anthropologie* itp.

Zanim wspomnimy o miejscowościach ciekawszych, wróćmy jeszcze do odkryć pana Boucher de Perthes w rumowisku potopowem doliny nad Sommą. Wiadomo, że pierwsze ślady znaleziono jeszcze w r. 1841, a które opisał w roku 1847 Boucher dokładnie; na pismo to jednak nie zwrócono uwagi takiej, na jaką zasługiwało. Dopiero gdy w r. 1858 odkryto także przypadkiem wiele szczęk ludzkich i narzędzia kamienne razem ze szczątkami zwierząt potopowych — zwróciła uwagę i Akademja paryska. Od tej chwili poczyna się żywszy ruch na polu umiejętności geologicznej, ruch i zajęcie, które doprowadzą niezawodnie do odkryć bardziej zdumiewających. Jeszcze wprawdzie powątpiewa wielu bardzo, czy resztki człowiecze są co do wieku współczesne szczątkom zwierzęcym, ale znalezione, surowe wprawdzie, jednakowoż obrobione ręką ludzką noże kamienne, w ilości przeszło tysiąca, dowodzą, że człowiek tam być musiał, i że to koniecznie dzieło rąk ludzkich. Odkrycie to zresztą potwierdzają liczne odkrycia w innych miejscowościach porobione *).

Oczywista, że musiały być jakieś nader przyjazne okoliczności, kiedy z tak dawnych czasów, zatracone w mule i rumowisku potopowem przechowały się szczątki kruche istności człowieka.

Z okresu potopowego możemy wymienić kilka miejscowości, gdzie bardzo ciekawe poczyniono odkrycia na poniżu Reńskiem, i to tak z dawniejszych jakoteż i nowszych czasów.

W roku 1825 wykopał zasłużony, żyjący jeszcze w Wiedniu geolog, Ami Boué, szkielet ludzki z gliny w okolicy Lahr w Breisgau. Przed pięciu może laty znaleziono po lewej stronie Renu koło Kolmaru czaszkę ludzką razem z kośćmi słonia mamuta i szczątkami wielu innych potopowych zwierząt. Opisał je dr. Fandel z Kolmaru dokładnie, a jednoczesność ich istnienia ze zwierzętami potopu dowiódł w piśmie swem pan Scheurer-Kestner.

Z miejscowości, w których znaleziono kości ludzkie razem z kośćmi mamuta, nosorożca, niedźwiedzia skalnego, wymienimy tylko niektóre, a mianowicie skały i pieczary. Najprzód pieczary w Lombrive i Lerm w departamencie Arriége, Engihoul i pieczara Engis w Belgji.

*) W obrębie miasta Paryża wygrzebano także szczątki człowieka potopowego okresu w kilku różnych miejscach.

O szczątkach znalezionych tam pisał jeszcze przed laty czterdziestu dr. Schmerling, dzieło to cenne, ale niestety, nie doznało należytego uznania. Na wspomnienie zasługuje także pieczara na dolinie Neander. Tam to w r. 1856 wygrzebano zupełny szkielet ludzki, budowy silnej, ale o czaszce mocno spłaszczonej, o kościach czołowych wystających łukowo, słowem z kształtu podobnej bardzo do czaszki małpiej. Szczątki te osobliwsze, które nastręczyły przedmiot do długotrwałej dyskusji, opisał dokładnie dr. Fuhlrott; kształty tej czaszki mają także wiele podobieństwa do ras australskich. Starożytność tego skieletu stwierdzoną została dopiero po świeższych poszukiwaniach w pokładzie potopowym. Czaszka z pieczary Engis o wiele korzystniej przemawia na rzecz wyższości kształtów człowieka, niż ostatnia na skielecie z pieczary Neander.

Ale przed wszystkiemi innemi zasługuje na wzmiankę stare, odwieczne cmentarzysko we Francji, w departamencie Haute-Garonne, miejscowości Aurignac. Odkrycie to zrobiono wprawdzie jeszcze w r. 1852, ale dopiero w roku 1861 zbadał je umiejętnie Lartet. Na pieczarze spoczywał jak siedm pieczęci olbrzymi kamień, umyślnie założony, wejście samo zresztą zasypane było rumowiskiem. We wnętrzu lochu znaleziono siedmnaście szkieletów ludzkich, pomięszanych z kośćmi niedźwiedzia skalnego i lwa, mamuta i nosorożca, jelenia olbrzymiego i mnóstwem innych szczątków zwierząt zaginionych z okresu potopowego. Znalazła się tam i broń kamienna, i sprzęty sporządzone z kości, z rogów jelenich i kości słoniowej, a przedmioty te oddane były prawdopodobnie zmarłym na wędrówkę do świata doziemskiego. Słynny geolog angielski, Sir Charles Lyell, który przed kilku laty wydał dzieło głośne o starości rodzaju ludzkiego, nie wahał się zacytować pieśni Schillera śpiewającej skargę pogan nad umarłymi, w której mowa o tem, co dać do grobu zmarłemu.

Jakoż w pieczarze tej znaleziono w samej rzeczy prócz broni, także kości z pośladków niedźwiedzich, gdyż jak pieśń płaczków opiewa: „drogę mają długą do przebycia.“

Naczynia garncarskiego nie odkryto wprawdzie w skale podziemnej, ale za to w rumowisku dużo węgla i popiołu, co naprowadza na domysł, że wyprawiano tam ucztę po zmarłych i dla nich. Z ssaków znalazły się tam i kości piżmowca, rena i jelenia zwykłego.

Z głębszych, a zatem starszych pokładów potopowych, wygrzebano tylko w niektórych miejscach i to z rzadka szczątki ludzkie; jeszcze mniej ich znajduje się w pokładzie Tryasowym, bezpośrednim głębszym pod diluwialnym, czyli z rzędu przedostatnim przedhistorycznym. Ale z najbliższej potopowego okresu gromady, zwanej w geologji plioceniczną, wygrzebują już gdzieniegdzie szczątki ludzkie. Znaleziono je naprzykład w okolicy St. Prest koło Chartres z resztkami zaginionego już gatunku słonia, którego nie ma śladu w pokładzie diluwialnym. Ale jedyne tu ślady, jakże niewyraźne: oto surowo obrobione sprzęty z kamienia i kości nadwerężone bronią także z kamienia*).

(C. d. n.)

*) W ostatnich dopiero czasach przybyło nieco więcej śladów, a zatem i dowodów, że człowiek mógł egzystować w okresie przedpotopowym. Dość wyraźne ślady znaleziono w gromadzie mioceniczne, czyli w gromadzie tej, o której powiedziećby można, że jest w niej mniej tego, co świadczy o istnieniu człowieka podówczas; i tak znaleziono nacięcia kości i może z kamienia. Odkrycie to zrobiono w pokładach Thenay (w departamencie Loire et Cher) i w pokładach Pouancé (Maine et Loire.) O podobnem odkryciu donosi głośny geolog amerykański Whituey z Kalifornji. Te odkrycia dowodziłyby, że człowiek zamieszkał już świat wtedy, zanim jeszcze wyniosły się na powierzchnię ziemi ogromne grzbiety gór Alpejskich i Pirenejów. Jeżeli tak, to zaprawdę żył człowiek za czasów prawdziwie rajskiej wegetacji na naszej półkuli.

TEATR.

(„Przezorna mama“ komedja w 3 aktach Józefa Blizińskiego. — „Stryj Sam“ komedja w 4 aktach W Sardou.)

Komedjopisarze są obok modniarek najbardziej pożałowania godnemi istotami pod słońcem! Mam to przekonanie że miał je specjalnie, na myśli mędrzec talmudyjski, gdy wyrzekł owe słowa rozpaczliwe: „Wszystko już b y ł o i nie masz nic n o w e g o pod słońcem“!... Na potwierdzenie tych słów pracowały i pracują do dziś dnia całe pokolenia komedjopisarzy i modniarek. Weźmy np. dzisiejszego komedjopisarza! Zaledwo w starych żurnalach uda mu się wyszperać jakiś bardziej zamierzchły „fason“, przykroić go trochę po dzisiejszemu, wyczubić go pomysłami złatanemi z rozmaitych czasów i wzorów, tu dodać wstążkę, owdzie ująć kokardę lub szlarkę, upstrzyć go przesadną dziwacznością, zaledwie w tak mozolnie sklejony kostjum przystroi manekina opatrzonego cudownym mechanizmem, który obraca się sam dokoła, kręci głową i zawraca oczyma, i wystawi go za szkłem na widok publiczny, a sam zacierając z zadowoleniem ręce oczekuje tryumfów; — zbiega się publiczność, poczyna kręcić nosem i oświadcza, że i to już „było“ i tamto już „było“ a wszystko razem „nic nie warte“, a na dobitek zlatują się dowcipni i dobrą pamięcią obdarzeni krytycy i zaczynają przypominać sobie, że to już było tam a tamto owdzie.... I cóż, pytam, pozostaje biednemu komedjopisarzowi, jak załamać ręce nad ślepotą znarowionej tłuszczy, otulić się w togę milczącej pogardy i oświadczyć że zwija „interes“ bo nie warto dla takiej publiczności pracować?...

Ach tak! Miał słuszność wielki mędrzec Ben Akiba — najtrudniej na świecie jest znaleźć to, czego jeszcze „nie było“, bo tego na świecie nie ma! To co jeszcze „nie było“ leży na dnie nas samych, a właściwie spoczywa w nas nie to co jeszcze „nie było“, lecz to co jeszcze „t a k nie było“... i to się podobno zowie „oryginalnością“. Goethe powiedział, że: oryginalność jest to wyrażanie s t a r y c h rzeczy w n o w y s p o s ó b“. Wszystko więc polega na owym „sposobie“ nowym. Kto tego nie rozumie, temu nic z tego nie przyjdzie, choćbym mu to nawet potrafił wytłumaczyć! Dam mu jednak radę, niech pójdzie na komedję p. Blizińskiego *Przezorna mama* — podoba mu się z pewnością — potem niech się zapyta sam siebie, dla czego mu się podobała i niech się oto więcej nikogo nie pyta, a zwłaszcza żadnego recenzenta, żadnego „znawcę“ fachowego! Bo znawca zapytany namarszczy się jak wyrocznia i powie mu, że to jest „ot tak sobie“, że są tam w niej nie złe rzeczy, ale oklepana, strasznie oklepana! Bo i cóż w niej jest nowego?... Pomysł?... Mama polująca na bogatych konkurentów dla córuni, papa grający w tem rolę niezgrabnego popychadła, córeczka kochająca na własny rachunek kogoś trzeciego, intrygi i nieporozumienia pospolite w podobnych razach i rzecz kończy się małżeństwem z góry ułożonem przez autora, a przedewszystkiem przez publiczność. To wszystko odwieczne! — Intryga? Dość pospolita, a oprócz tego nie wzbudzająca nawet zajęcia, bo po pierwszym akcie wie się doskonale, jak się zakończy trzeci. Typy? Najzwyklejsze, zużyte w tysiącach komedyj. Sytuacje? Pospolite, zwyczajne, widywane już w tej i w owej komedji. Słowem nie ma tu nic „nowego“, nic „oryginalnego“, wszystko to już było.... Tak pewnie powie ci „znawca“ i doda protekcjonalnie, że wszystko to razem jest nie złe — i ze swojego stanowiska jako „fachowy znawca“ który z obowiązku wie wszystko, co gdzie kto już napisał, i co gdzie już „było“, będzie miał słuszność! Wszystko to już tysiąc razy było, ale t a k nie było!... Rzecz stara, ale s p o s ó b nowy. Nowy sposób odczucia starych rzeczy i nowy sposób podania takowych. Widać że autor na te wszystkie stare rzeczy patrzał nie przez cudze szkła, lecz własnemi oczyma, że je więc widział po swojemu i po s w o j e m u odtworzył. *Ce sont toujours des perdrix* jak mówią Francuzi, z tą tylko różnicą, że nie kupione gdzieś na targu dziczyzny ani przyrządzone w cudzej kuchni, lecz świeżo upolowane i na s w ó j sposób sporządzone. A widać, że autor ma celne oko i zdrowy smak. Widać, że pisząc swą komedję sam patrzał na świat i czerpał sam ze siebie. Inni nasi komedjopisarze nie czerpią ze siebie, bo i cóżby ztamtąd potrafili wyczerpać, ale za to obficie czerpią z *Bibliothèce Scribe*, z *Oeuvres dramatiques*, tudzież z *Gesammelte dramatische Werke;* patrzą zaś najchętniej w zwierciadło, a jeżeli czasem patrzą i na ludzi, to, jak powiada Goethe, na to tylko:

. . . . nur ihnen abzugucken
Wie sie sich räuspern, wie sie spucken....

a gdy im się to uda podpatrzeć i zmałpować, to sądzą, że „jądro granitu myślą przewiercili“!... Autor niniejszej komedji nie szuka śmieszności i słabości ludzkich ani w czuprynach ani w spluwaczkach, ale szuka ich na dnie serc i mózgów ludzkich, i umie je tam wynaleźć z bystrością głębokiego znawcy świata i ludzi. Czy podobna np. trafniej scharakteryzować zapatrywania społeczne polskiej szlachcianki, jak owym wykrzyknikiem, który wydaje pani sędzina, dowiedziawszy się że p. Brylański, którego łapała dla córki, jest całkiem niemożliwym konkurentem, bo jest... „co? może rzemieślnikiem?“ pyta ze zgrozą sędzina — „czemś jeszcze gorszem“ odpowiada tryumfujący sędzia, — „więc... więc chyba kryminalistą“!!... woła zrozpaczona sędzina. Klasycznym, wykończonym do najdrobniejszych rysów typem jest pan sędzia, obraz leniwej niezdarności przy chęci znaczenia coś, baraniej dobroduszności przy strasznej przebiegłości, wrodzonej dobroci serca przy częścią wyrezonowanym, a częścią z leniwstwa płynącym egoizmie, rozrzutności i skąpstwa — jednem słowem typ dzisiejszego polskiego szlachcica, a gdyby żył w Galicji i „robił politykę“ byłby niezawodnie typem galicyjsko-szlacheckiego polityka! Jak charakterystycznym np. jest koncept dyplomatyczny z udanem bankructwem!... Wybornie skreślonym jest stosunek osobisty państwa sędziowstwa. P. sędzina wodzi go na pasku, wmawiając w niego że on jest właśnie głową domu, w co on sam rad nie rad wierzy, używa go do najbardziej śliskich kroków, ażeby w razie powodzenia całą zasługę sobie przypisać, a w razie przeciwnym zastawić się mężem i na niego zwalić całą winę. Zawikłania pochodzące z tej dwulicowej dyplomacji przepełniają w części intrygę sztuki i dostarczają najkomiczniejszych epizodów. Podobnie jak poglądy autora na świat i ludzi tchną świeżą samodzielnością i prawdą życiową, tak i sposób przedstawiania takowych, strona artystyczna utworu odznacza się dziwną naturalnością, prostotą i miarą. Wszystko to wypływa samo ze siebie tak jasno i naturalnie, jak gdyby musiało być tak a nie inaczej. Wszystkie sytuacje wywijają się jedna z drugiej z taką logicznością, tak niewymuszenie, tak niby przypadkowo a w gruncie z motywowaną koniecznością, że zapomina się zupełnie, że się widzi scenę a zdaje się widzieć życie. W niczem przesady — nigdzie zagalopowania się! Autor umie zręcznie ukryć za kulisami swój „aparat dramatyczny“, który inni pisarze umyślnie wywlekają na jaw, ażeby pokazać publiczności, jacy to z nich wielcy mechanicy i że to nie tak łatwo, jak się komu wydaje.... U p. Blizińskiego wydaje się wszystko „tak łatwem“, tak rozumiejącem się samo przez siebie, że nie jednemu z widzów parterowych wydać się może, że on by tak samo potrafił.... Przy zdrowym instynkcie artystycznym, który zawsze kieruje autorem, nie posiada on jeszcze może dość znajomości owych „sekretów“ i sztuczek, jakiemi posługują się rutynowani majstrowie dramatyczni. Dlatego nie umie przysłonić zręcznie ostatecznego rozwiązania intrygi i zdradza je zawcześnie. W niniejszej sztuce np. wiele zyskałby na tem interes dramatyczny, gdyby publiczność nie wiedziała od samego początku, że Józef odziedziczył miljon po swoim stryju. A jednak pomimo że publiczność od pierwszego aktu domyśla się zakończenia, z największem przecież zajęciem śledzi przebieg sztuki i radaby by trwała najdłużej — w tem leży tryumf utworu! Ekspozycja sztuki jest z tego samego powodu dość niezgrabną, np. owe opowiadania sobie na scenie rzeczy znanych osobom rozmawiającym. Scena 1sza dałaby się z korzyścią nawet dla sztuki zupełnie wypuścić, a w akcie 2gim niejedno skrócić. Wszystkie te wady jednak nie zdołają w niczem zmniejszyć wartości utworu, na niepoślednie zasługującego miejsce w naszej społczesnej literaturze

*

scenicznej. „Kawaler marcowy“ uprawnił już był publiczność do nadziei, które „Przezorna Mama“ w zupełności ziściła.

Przedstawienie wypadło wzorowo. Szczególniejszą jednak pochwałę przyznać należy p. Dobrzańskiemu. W cennym talencie p. D. przebijała się dotąd zawsze przesadna skłonność do karykaturalności; w roli sędziego dowiódł p. D. po raz pierwszy, że potrafi stąpać po gruncie szlachetniejszym, godniejszym poważnego artysty. Była to kreacja ze wszech miar znakomita, wypracowana sumiennie, głęboko pojęta i ze szlachetną miarą oddana. Winszujemy jej p. Dobrzańskiemu. P. Zamojski nie pojął dobrze postaci Brylańskiego. Nie jest to człowiek nieśmiały i małomowny, „dzikun“ jakim go zrobił p. Z., ale człowiek trapiony ustawicznie jedną myślą, która przerodziła się w rodzaj *idée fixe*, która go całego absorbuje i oddziela od świata zewnętrznego. Człowiek taki zatopiony w sobie milczy, lecz porusz w nim tę jednę strunę napiętą, a musi wygrać na niej wszystko od początku do końca, musi wynucić ze siebie wszystko, co go trapi. Takim wylewem tłumionych w sercu uczuć i więzionych myśli jest owa scena z sędzią w akcie 2gim; nakręcona pozytywka za pociągnięciem sznureczka „musi“ wygrać całą piosenkę, wstrzymać jej niepodobna — w tem leży sens tej całej sceny, którego p. Z. nie uwydatnił jasno. Pani German w małej swej rolce, zamiast fertycznej, wszędowścibskiej Warszawianki, przedstawiła szablonową próbkę z półświata francuskich komedyj.

* * *

Dn. 31. sierpnia przedstawiono po raz pierwszy okrzyczaną i ograną na scenach zagranicznych komedję W. Sardou pt. *Stryj Sam*. (Możeby lepiej było: *Stryj Samuel*, ażeby uniknąć niepożądanego kalemburu?) Do napisania tego utworu skłonić miało p. Sardou dzieło Laboulay'a pt. „Paris en Amerique“ apoteozujące świat nowy, jego mieszkańców, jego obyczaje, urządzenia, instytucje, zapatrywania i t. p. *Stryj Sam* ma przedstawiać odwrotną stronę tego medalu — i jest najobelżywszą satyrą albo paszkwilem na amerykańskie stosunki. Główną też rolę w tej sztuce odgrywa tendencja, stanowiąca tło sztuki, na którem autor osnuł bardzo luźną intrygę. Niepodobna też do utworu tego przykładać miary literackiej lub artystycznej, można go tylko traktować po dziennikarsku. W najlepszym bowiem razie jest to tylko udramatyzowany satyryczny fejleton dziennikarski, w najgorszym razie paszkwil społeczny, a w żadnym razie komedja! Karykaturalność jest tu posuniętą aż do ekscesu, jaskrawość aż do obrzydzenia. Nie chcę sądzić o ile pojedyńcze rysy społeczeństwa amerykańskiego wyśmiewane przez autora są trafne lub nie, gdyż nie znam Amerykanów rzeczywistych lecz tylko drukowanych; sądzę przecież że Ameryka taka, jaką nam całą przedstawia p. Sardou, nie mogłaby być ojczyzną Waszyngtonów, Linkolnów, Grantów i innych, nie potrafiłaby była ponieść tyle ofiar, tyle krwi wylać dla oswobodzenia się z pod obcego jarzma, nie zdołałaby toczyć przez długie lata morderczej walki za prawa ludzkości pogwałcone na murzynach, nie mogłaby dać Europie tyle przykładów poświęcenia dla dobra publiczności, świętości życia rodzinnego, poszanowania dla kobiet, współczucia dla uciśnionych, tyle dowodów wzrastającej potęgi materjalnej i moralnej, kwitnącego handlu i przemysłu, cywilizacji rozpościerającej swe światło w nieprzebyte puszcze i niosącej swe dobrodziejstwa dotychczasowym kopciuszkom ludzkości. P. Sardou zdaje się nie wiedzieć lub zapominać o podstawach, o tradycjach, na jakich wzrosło społeczeństwo amerykańskie. Naśmiewa się z biednych „yankesów“ za ich „pozytywny“ sposób myślenia, który ma być czemś niesłychanie podlejszem od wyrafinowanego sensualizmu francuskiego. Razem wziąwszy, sprawia to takie wrażenie, jak gdyby garbaty śmiał się z murzyna, że się urodził z czarną skórą na ciele. Powinszujmy p. Sardou jako reprezentantowi Francji wsławionej Sedanem (za takiego sam się wystawia) tego tryumfu nad „yankesami“ i tej dumy, z jaką przy końcu sztuki puszcza błyskotliwe fajerwerki frazesów na cześć „de la grande nation“, aby ludzie nie dopatrzyli garbu na jej plecach....

A—ry.

Rozwój w przyrodzie i w dziejach

przez

Ludwika Wierzejskiego.

(Dokończenie.)

Nie jednakie położenie geograficzne krajów zamieszkanych przez różne narody, sprawia że te czynniki nie w równej mierze na wszystkie narody, niejednakie stosunki prywatne pojedyńczych osobników w łonie każdego narodu sprawiają, że one niezarówno na wszystkie osobniki narodu działają. Wskutek tego powstają tak pomiędzy całemi narodami, jak też między członkami każdego narodu różnice, tak w rozwoju fizycznym jak umysłowym a przez to nierówny podział zasobów materjalnych. Narody żyjące w lepszych warunkach postępują prędzej, tak pod względem fizycznym i umysłowym jak pod względem dobrobytu materjalnego, pozostawiając za sobą te narody których siedziby mniej korzystnie od przyrody wyposażone, nie dozwalały im w postępie cywilizacyjnym równego tamtym dotrzymywać kroku. Podobnie dzieje się w łonie każdego narodu z osobna. Tu klasy ludności żyjące w korzystniejszych warunkach wyprzedzają tak pod względem wykształcenia umysłowego jak też materjalnego dobrobytu klasy inne, które w mniej korzystnem znajdują się położeniu. Różnica w umysłowem wykształceniu okazuje się szczególnie w dziedzinie ideów i zapatrywań na świat i stosunki ludzkie.

Wskutek tych nierówności powstaje walka, tak między całemi narodami, jak też między klasami ludności w łonie narodów, która bądź to jako spokojne współubieganie się na polu przemysłu i handlu, to jako polemika w dziedzinie umiejętności i literatury, to znowu jako zacięta walka o zasady religijne, polityczne lub społeczne w zgromadzeniach ludowych lub ustawodawczych, to nareszcie jako krwawa wojna zewnętrzna lub domowa na polach bitew lub w ulicach miast wielkich się ukazuje. Rozpatrując się uważnie w dziejach powszechnych możemy dostrzedz że wszystkie walki z jakichkolwiek pozornych przyczyn, i pod jakiemikolwiek pretekstami dyplomatycznemi rozpoczęte zostały, t o c z y ł y s i ę o s t a t e c z n i e z a w s z e t y l k o o z a s a d ę p o s t ę p u i z a s a d ę z a c h o w a w c z ą, tj. o urzeczywistnienie idei nowo utworzonej i o zachowanie urządzeń, z przeszłości odziedziczonych a polegających na zasadach dawniejszych, a w y n i k k a ż d e j t a k i e j w a l k i b y ł z a w s z e a l b o d l a j e d n e j a l b o d l a d r u g i e j z t y c h z a s a d k o r z y s t n y m.

W okresie antropologicznym okazują nam się podobne zjawiska jak w okresie biologicznym. W tym ostatnim okresie widzieliśmy stopniowe pojawianie się coraz doskonalszych zwierząt, w okresie antropologicznym zaś postęp cywilizacji. Czynniki działające w obu okresach są także bardzo do siebie podobne, gdyż stosunki klimatyczne, geograficzne, pożywienie i zjawiska przyrody, działające w dziejach ludzkości nie są niczem innem jak tylko tem, cośmy w okresie biologicznym nazwali bezpośrednim wpływem zewnętrznych warunków życia. Różnice w stopniach rozwoju okazujące się między ludźmi odpowiadają wyborowi przyrodnemu poprzedzającego okresu, a wytwarzanie nowych ideów i utrzymywanie się dawnych odpowiada zmienności i dziedziczności, które to dwa ostatnie zjawiska okazują się u ludzi także w życiu fizycznem. Walka o życie zaś wrze w obydwóch okresach, z tą tylko różnicą że między ludami toczy się ona na rozmiar o wiele większy i jest więcej skomplikowaną niż między zwierzętami.

* * *

Zestawmy teraz to wszystko cośmy o działaniu sił we wszystkich okresach dziejów przyrody powiedzieli. W okresie kosmicznym siła odśrodkowa sprawia wytwarzanie się ciał niebieskich, siła ciążenia utrwala je; w okresie biologicznym wpływ zewnętrznych warunków życia daje pierwszy impuls do zmienności zwierząt i roślin, dziedziczność zaś zachowuje tym istotom nabyte własności; w okresie antropologicznym stosunki klimatyczne i atmosferyczne są głównemi czynnikami w postępie cywilizacyjnym ludzkości, a zachowawczość ochrania ludzkość do pewnego stopnia od utraty zdobyczy cywilizacyjnych. Siła odśrodkowa okazuje się więc w okresie biologicznym jako zmienność, a w okresie antropologicznym jako czynnik postępu. Siła ciążenia zaś występuje w okresie biologicznym jako dziedziczność, a w okresie antropologicznym jako pierwiastek zachowawczy. Te dwie siły więc: siła odśrodkowa i siła ciążenia działają we wszystkich trzech okresach, a różnica zachodzi tylko w sposobie i w skutkach ich działalności.

Że ustawy czyli prawidła według których siły przyrody we wszystkich tych trzech okresach działają, są te same, nad tem rozwodzić się zdaje mi się być zbytecznem, gdyż udowodnionem jest we fizjologji, że zjawiska w świecie ustrojowym odbywają się według tych samych prawideł fizykalnych i chemicznych jak w świecie nieustrojowym, i że jakaś osobna siła żywotna któraby według zupełnie innych prawideł w świecie ustrojowym działała, nie istnieje; a ekonomja społeczna w najnowszym swym stanie wykazała, że takie stosunki społeczne podlegają prawidłom przyrodnym.

Wszystkie trzy okresy są więc połączone węzłem wewnętrznym, a tym węzłem jest tożsamość sił i tożsamość prawideł.

Każdy okres następujący jest oprócz tego zawarunkowanym przez poprzedzający. Życie organiczne dopiero wtenczas mogło powstać na ziemi, aż ta ziemia z centralnej mgławicy się wydzieliła, na powierzchni stężała, a temperatura na niej do tego zniżyła się stopnia, przy którym rośliny i zwierzęta istnieć mogą. Życie ludzkości zaś mogło się dopiero wtenczas rozpocząć, gdy już życie zwierzęce tak dalece się spotęgowało, że powstały te zwierzęta od których ród ludzki swe pochodzenie wywodzi. Okres biologiczny jest więc tylko dalszym ciągiem okresu kosmicznego, a okres antropologiczny dalszym ciągiem okresu biologicznego; wszystkie trzy okresy zaś stanowią jednotliwą całość dziejów przyrody.

Pozostaje nam jeszcze zastanowić się nad pytaniem, czyli w całym procesie uniwersalnym obejmującym całość dziejów przyrody tkwi jakaś myśl, a jeżeli tak jest, co jest treścią tej myśli.

Nie da się zaprzeczyć, że wyosabnianie się ciał niebieskich z głównej mgławicy i ukształtowanie się tychże w ten sposób, że się stają przydatnemi do tego aby na ich powierzchniach mogło istnieć życie ustrojowe, jest doskonaleniem się pod względem formalnym materji, z której te ciała

się składają. Powstanie istot ustrojowych w coraz większej liczbie i stopniowe pojawianie się coraz doskonalszych pod względem psychicznym zwierząt na powierzchni ziemi i prawdopodobnie także wielu innych ciał niebieskich, nareszcie pojawienie się człowieka i prawie ciągły postęp cywilizacji okazującej się najprzód jako samopoznanie człowieka, później jako coraz dokładniejsze poznanie przyrody, jej sił, i jej prawideł, nareszcie jako poznanie stanowiska jakie ludzkość zajmuje w przyrodzie; to ciągłe nagromadzanie wiedzy, które szczególnie w nowszych czasach na bardzo wielki rozmiar się odbywa, a w przyszłych stuleciach niewątpliwie jeszcze większe przybierze rozmiary, nie jest niczem innem jak tylko dochodzeniem przyrody do świadomości.

Przyroda jednak doszedłszy w rozumnych istotach do wysokiego stopnia świadomości, nie stanęła na tym punkcie swego rozwoju, lecz jak to okazują dzieje umiejętności, sztuki i życia społecznego, dąży dalej do rozwinięcia pojęć prawdy, piękna i dobra tj. ideałów, i do urzeczywistnienia tychże.

W procesie uniwersalnym jest więc myśl, a treścią tej myśli jest uświadomienie przyrody, jako też rozwinięcie i urzeczywistnienie ideałów.

Pogląd na świat i stosunki ludzkie wynikający z takiego zapatrywania się na przyrodę, pozwala nam łatwiej zastosować się do urządzeń przyrody, zdoła nas ochronić od wielu błędów wynikających z tego mylnego wyobrażenia, jakoby w stosunkach życia ludzkiego inne siły według innych prawideł niż w reszcie przyrody działały, i daje nam to przekonanie, że jeżeli staramy się poznać przyrodę, jeżeli pomnażamy naszą wiedzę, rozszerzamy oświatę, wspieramy sztukę i żyjemy według prawideł etyki, to przyczyniamy się przez to do urzeczywistnienia tej myśli, która tkwi w procesie uniwersalnym i działamy zgodnie z tą myślą.

POGADANKI.

XXXVI.

Lwów zaludnia się na nowo z powodu rozpoczęcia wykładów w szkołach średnich, a Wrzesień powitał wracającą młodzież, jej nauczycieli i rodziców, obniżeniem temperatury do 8° R. Różnica jednego dnia wynosiła 12 stopni R. czyli 15° Cels. W takich warunkach potrzeba w istocie zdrowia nie żelaznego już — bo żelazo jest dobrym przewodnikiem — ale platynowego. Jedna tylko platyna potrafi być na jednym końcu czerwoną od żaru, a na drugim chłodną, i nie dostać przytem żadnego kataru ani zapalenia.

Coby też to było szkodziło naszym praojcom, Lechowi, Czechowi i Rusowi, gdyby zamiast osiedlać się w tych stronach, obrali sobie byli mieszkanie w jakiej okolicy położonej o dziesięć stopni bliżej równika? Toć, jeżeli Polska miała być przedmurzem chrześcijaństwa przeciw Turkom, najdogodniej było ulokować ją w Konstantynopolu — a wówczas Turcy nie byliby się dostali na tę stronę Bosforu, ks. kardynał Ledóchowski nie miałby zatargów z rządem pruskim, jako nie sąsiadującym z nami, a ja nie miałbym tej strasznej migreny, czy newralgji, pochodzącej z raptownego obniżenia temperatury. Baraninę jadalibyśmy lepszą, a ponieważ bylibyśmy w posiadaniu brzegów morskich, gazety nasze nie potrzebowałyby pływać bez wody.*) Niejeden przytem kochałby Polskę goręcej, niż ją dziś kocha... Ale poco tych marzeń? Fatalna klimatologiczna pomyłka naszych przodków nie da się już naprawić, bo reumatyzmy, gośćce, plewry, grypy, itd. rozciągają nad nami wszechładne swoje panowanie. Jeżeli o Francuzach mówią, że są narodem, który fałszywie śpiewa i nie umie jeografji, to my jesteśmy narodem, który cierpi na reumatyzm.

* * *

Nie idzie zatem, by tu i ówdzie nie mógł się kto w Polsce pochwalić zdrowiem i wytrwałością niezwykłą. Narzekamy np. słusznie na zaniedbanie sztuki jazdy konnej przez naszą młodzież. Otóż otrzymałem temi dniami doniesienie z prowincji, że w ostatnich dniach sierpnia hrabina S. w towarzystwie męża, jakoteż pana T. i dwóch masztalerzy, wybrała się konno z okolicy Trębowli do Delatyna. Drogę tam i z powrotem, wynoszącą razem około 40 mil, odbyto w przeciągu 72 godzin, spoczynek w Delatynie był bardzo krótki. Hrabina S. jechała na koniu czystej krwi arabskiej, hrabia S. na koniu półkrwi angielskiej, a masztalerz państwa S. na koniu rasy krajowej roboczej, podczas gdy pan T. i jego masztalerz mieli konie czystej krwi angielskiej, chowu hr. Tarnowskiego i p. K. Ochockiego. Przejażdżka przedsięwzięta była oczewiście nie o zakład, ale dla przyjemności, i właśnie dlatego jest równie godną uwagi, jak popisy p. Zubowicza lub Kap. Webba, który przepłynął cieśninę kaletańską bez przyrządu pływackiego, w przeciągu 22 godzin. Nie wiem zresztą, czy smucić się, czy radować z powodu, iż płeć piękna zawstydza w ten sposób większą część naszej męskiej młodzieży? Fakt sam przez się jest smutny na razie, ale wesołą natomiast jest nadzieja, że bodaj przyszłe pokolenia będą więcej dziarskie od dzisiejszych.

* * *

„*Qui non habet szkapkas, piechotare debet.*" powiedział jeden z późniejszych filozofów łacińskich. W tem położeniu znajdujemy się my mieszczanie, i ponieważ nie możemy odznaczyć się dzielnością naszą konno, powinniśmy sobie znaleść jakie ćwiczenie piesze, któreby nam przyniosło rozrywkę, pożytek i sławę.

Na szczęście, nie daleko potrzebujemy szukać takiego ćwiczenia. Jest nad Lwowem góra, o której śpiewa poeta XVII wieku:

„Patrz, góra lwowska! — Czyć zda się korzystnie?
Bodzie obłoki jej olbrzymia głowa,
Gdy mgławe niebo chmurami nawiśnie
A w chmurach wilgoć zgęści się deszczowa —
Próżno grom huczy, próżno wiatr szeleszcze,
O głaz rozdarty obłok się popęka,
Choć biją wichry, pioruny i deszcze
Góra się gromów Jowisza nie lęka..."

Nie wiem, czy Klonowicz pisał to z natchnienia, czyli też z wdzięczności, iż u stóp pomienionej góry był urzędnikiem magistratualnym, ale dość, że wiersze w przekładzie polskim brzmią pięknie, a góra chociaż nie sięga w obłoki i nie rozdziera ich swojemi głazami, jest w istocie dosyć wysoką — jak na Lwów przynajmniej. Otóż na tej górze, z inicjatywy Franciszka Smolki, zaczęto sypać kopiec pamiątkowy Unji lubelskiej. Dolne szkarpy wykończone są już bardzo pięknie, i starannie podmurowane, autor pomysłu nie szczędzi bowiem ani własnej pracy, ani nakładu, ażeby prowadzić dalej rozpoczęte dzieło. Sam dr. Smolka atoli niepodobna, by podołał tak olbrzymiemu zadaniu, a udział ogółu w sypaniu kopca osłabł znacznie temi czasy. Przed dwomaset laty, kiedy księża Reformaci budowali się w tem miejscu, gdzie jest dzisiaj klasztór Sióstr Miłosierdzia, pochyłość góry okazała się zbyt wielką i niedogodną. Wówczas naród wyszedł pod Wysoki Zamek, z rydlami i taczkami, i do trzech lat splantował górę, która według kroniki Józefowicza „przewyższała stojące dziś na niej kościoły i sięgała aż do okopów miejskich." Brali udział w tem dziele „Starcy i ze szlachetniejszego stanu osoby a nawet kobiety nadobne i sędziwe matrony," nie mówiąc już o żakach, których wszędzie było pełno naówczas — po za szkołą. Działo się to w r. 1630. Dlaczegóżby w 245 lat później ludność dziesięć razy większa od ówczesnej, nie mogła usypać kopca? Byłoby to ćwiczeniem pożytecznem dla miasta, i dla zdrowia pracujących. Kopiec gdy będzie wysypanym, zmieni całą zewnętrzną fizjonomję Lwowa, i nada jej pewną okazałość niezwykłą, już dzisiaj bowiem szczyt Zamkowej góry z daleka wydaje się nierównie lepiej, chociaż zaledwie zarysowała się podstawa kopca.

Ale jeszcze jedno. W r. 1630 miasto dawało bezpłatne objady OO. Reformatom, za to, iż miało sposobność zarabiać na zbawienie wieczne plantując im górę. Obecnie, prócz ochotników wożących ziemię, potrzeba murarzy i innych robotników płatnych. Koszta wynoszą dziennie kilkanaście złr. Niechaj więc tych słów parę zachęci szanownych moich współobywateli do częstych ofiar na rzecz Kopca — puszki są wszędzie, ale próżne, bo od czasu powstania agitacji za „Rezolucją" ochłódł także zapał dla Unji lubelskiej, jak gdyby kraj nie obdzielony „kwotą" i nie ozdobiony osobnym kanclerzem nie mógł i nie potrzebował kochać swojej przeszłości. Nietylko więc wożenie ziemi, ale także częste wsypywanie dziesiątaczków i dwudziestówek w owe puszki jest ćwiczeniem, które jako nader zbawienne polecić się ośmielam.

Jan Lam.

*) Pewnych profesorów historji moglibyśmy także obznajomić z tą metodą pływania, używaną nad Bosforem, zaszywszy ich poprzednio w worek, dla ochrony od wilgoci.

Piśmiennictwo polskie.

(*Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1799. Studja do historji ducha i obyczaju przez J. I. Kraszewskiego. 3 tomy in 8° majori. Poznań — nakładem J. K. Żupańskiego 1873, 1874 i 1875.*)

Pod powyższym tytułem wyszło w ostatniem trzechleciu obszerne dzieło niezmordowanego pracownika na polu literatury ojczystej, Nestora naszych pisarzy, J. I. Kraszewskiego. Kraszewski od dawna zajmuje się historją ojczystą, a liczne dzieła jego tej treści, że wspomnimy tylko „Historję miasta Wilna," znane są i cenione tak przez historyków, jak i laików dziejopisarstwa. W ostatnich czasach zajął on się głównie epoką Stanisława Augusta, i osnuł na niej kilkanaście wybornych powieści, w których już znać dokładne obznajomienie się z owemi czasami. Oprócz powieści, pisał o owych czasach kilka rozpraw, z których wymienić należy: „Sceny sejmowe w Grodnie," wydał bardzo zajmujący „Pamiętnik

anegdotyczny“ i niezmordowaną pilnością i wytrwałością prowadzi cenne wydawnictwo „Pamiętników z XVIII. wieku.“ Wszystko to było niejako przygotowaniem do dzieła, którego tytuł położyliśmy na czele, a w którem podjął się kolosalnej rzeczy, skreślenia całokształtu życia narodu w burzliwej i różnobarwnej epoce trzech podziałów. Zadanie to rzeczywiście musimy uważać za kolosalne, skoro zważymy, jak różnorodnemi przedmiotami musiał się zajmować autor zacząwszy od historji politycznej, a skończywszy na kwestji ubiorów i mundurów dla wojska, jeżeli zważymy bogactwo materjałów, które wszystkie przewertować było potrzeba, a mimo to niedokładność ich i niedostatek w niektórych punktach, co trzeba było rozjaśniać krytyką i dziejopisarską intuicją. I przyznać musimy, że autor wywiązał się ze swego zadania sumiennie, i zasłużył na prawdziwe uznanie.

Żeby ocenić to dzieło, trzeba nasamprzód wiedzieć, jaki jest jego cel i przeznaczenie, w przeciwnym bowiem razie, sąd musi być stronniczym, a dalej musimy wiedzieć, jakie miał autor materjały pod ręką i czy z nich odpowiednio i krytycznie korzystał. Najlepiej nam obie te rzeczy rozświeca przedmowa autora do pierwszego tomu „Polski.“ Autor z chwalebną, a dowodzącą jego wyższości duchowej skromnością, uważa swą pracę nie jako historję, ale tylko jako próbę historji, wie on bardzo dobrze, że bardzo wiele faktów nie jest jeszcze rozświeconych, czemu po części winien brak materjałów, a po części brak specjalnych opracowań, przyznaje, że nie jedna rzecz, którą on przedstawia o tem świetle, z czasem może będzie się inaczej wydawać, z tem wszystkiem sądzi, w czem się z nim zupełnie zgadzamy, że jego praca jest na czasie i będzie pożyteczną. Pojedyńcze fakta mogą być z czasem w inny sposób wyjaśnione, ale całość obrazu pozostanie ta sama, choć się w pojedyńczych miejscach inne światło na nią rzuci. Z całego dzieła widać, że autor przeznaczył je dla jak najszerszej publiczności: może, a nawet musi zeń korzystać badacz dziejów, ale przystępne jest ono dla każdego, nieobeznanego nawet z dziejami narodu i każdy przeczytawszy je uważnie, będzie miał jasne wyobrażenie o rozbiorowej epoce. Stanowi to wielką zaletę tego dzieła, ale zarazem jest powodem i jego wad, które poniżej wykażemy. Drugie postawione przez nas pytanie, jakie materjały miał autor pod ręką, rozjaśnia sama przedmowa i bardzo liczne cytaty i całemi ustępami przywodzone materjały w tekście. Dowiadujemy się z nich, że materjały użyte do tego dzieła były bardzo liczne i z wielką skrzętnością zebrane i przestudjowane: oprócz wszystkich prawie dzieł historycznych, traktujących o tych czasach, autor przewertował całe bibljoteki wydanych już licznych pamiętników i relacyj dyplomatycznych, czytał i zna prawie wszystkie ulotne pisemka, tak charakteryzujące epokę, a oprócz tego zapobiegliwość i szczęśliwy traf pozwoliły mu korzystać z wielu nieznanych dotychczas współczesnych rękopisów, z pomiędzy których na szczególną wzmiankę zasługują bogate w fakta i poglądy pamiętniki i korespondencje Michała Zaleskiego i niedrukowany drugi pamiętnik Kilińskiego.

Powiedzieliśmy, że główną zaletą „Polski“ jest to, że jest pisaną w sposób przystępny dla jak najszerszego koła czytelników, zaletą tem większą, ponieważ traktuje ona o tej epoce historji naszej ojczyzny, z którą każdy Polak powinien być jak najlepiej obeznany. W każdym zawrze z oburzenia krew, skoro będzie czytał o takich zdrajcach, jak Poniński, Massalski, Kossakowscy, Szczęsny i inni, każdy przejmie się uwielbieniem dla takiego Stanisława Małachowskiego, lub Niemcewicza, każdy zastanowiwszy się nakoniec nad owoczesną naszą historją, będzie jasno widział, dokąd teraz iść mamy i jak na przyszłość postępować. P. Kraszewski dopiął tego celu przez to, że zamiast spisywać sucho fakty i napełniać całe stronice krytycznemi ekskursami, nadał swemu dziełu formę beletrystyczną, której jest mistrzem. Pełen podniosłego patrjotycznego ducha, maluje on plastycznie działające osoby, fakty opisuje żywo i zajmująco, posługując się gdzie tylko może własnosłownemi świadectwami współczesnych. Od czasu do czasu przeplata swoje opowiadanie trafnemi uwagami. To też dzieło jego czyta się z niezmiernem zajęciem, żywy opis porywa czytelnika i przenosi niejako w przeszłość, a trafne uwagi pobudzają do zastanawiania się samoistnego nad przeczytaną rzeczą. Gdyby wszystkie fakty były już rozświecone, „Polska“ p. Kraszewskiego byłaby znakomitą. Tak jednak nie jest, jak się sam autor do tego przyznaje, i dla tego forma beletrystyczna nadana „Polsce“ o ile jest jej zaletą, o tyle też i wadą. Zwykły czytelnik, przyzwyczajony *jurare in verba magistri,* będzie z niej zupełnie zadowolony, ale historyk znajdzie ją pod wielu względami niedostateczną. Powiedzieliśmy, że autor korzysta, z ogromnej masy znanych i nieznanych dotychczas źródeł i opracowań, ale bynajmniej nie zajmuje się ich krytyką, ograniczając się tylko na epitetach „pisarz nam przychylny,“ albo „nieprzychylny,“ nie dowodzi, który z przywiedzionych przez niego autorów zasługuje na większą wiarygodność, słowem nie podaje krytyki źródeł, bez czego obecnie każde dzieło będzie tylko mniej więcej małem kompendjum. Przebaczylibyśmy jeszcze autorowi, gdyby nie poddał krytyce dzieł powszechnie znanych, ale nie czyni on tego nawet używając rękopisów, których nikt nie zna, jak np. „Korespondencji i pamiętników M. Zaleskiego.“ Jest to skutkiem chęci stania się przystępnym dla wszystkich, choć według nas można było bardzo łatwo przystępność połączyć z ścisłością naukową, umieszczając dla specjalistów bądź to obszerne noty w tekście, bądź też osobne ekskursy po każdym rozdziale, jak to się zwykle praktykuje. Brak krytycznej oceny źródeł jest powodem, że gromadzenie obok siebie rozmaitych zdań sprzecznych współczesnych pisarzy i historyków, co autor uważał za stosowniejsze niż wyjaśnienie własnego zdania, pozostawiając czytelnikowi wybór, zupełnie chybia swego celu, czytelnik bowiem nie mając w ręku sprawdzianu w krytycznej ocenie, podług którego mógłby te zdania osądzać, musi się błąkać pomiędzy niemi i często na los szczęścia wybierać nie to, które jest najprawdziwsze, ale to, które najlepiej odpowiada jego indywidualnym wyobrażeniom. Nagromadzanie to różnorodnych, często wręcz przeciwnych zdań bez krytycznego opracowania, zabrało niezmiernie wiele miejsca w dziele, nadało mu dziwną jakąś cechę zbiorowych pamiętników, a ostatecznie chybiło celu. Zwykły czytelnik, jak już powiedzieliśmy, nie zdoła się pośród tego należycie zorjentować, a historyk piszący o tych czasach z pewnością będzie musiał brać źródła z pierwszej ręki, nie znalazłszy w dziele p. Kraszewskiego krytycznego ich ocenienia.

(D. n.)

Kronika paryska.

Paryż. — Sierpień 1875.

Niewiem za co, czy za Rzeczpospolitę i odpychanie Henryka V. (jak mówią legitymiści), czy za wstręt ku Napoleonowi IV. (jak mówią Bonapartyści), czy wreszcie za ciągle trwający stan oblężenia i za wywożenie kommunardów do Nowej Kaledonji (jak rewolucjonistów twierdzi kompanja), nie wiem za co, ale Bóg widocznie rozgniewał się na Francję i srogą karci ją dłonią.

Jak wiecie z dzienników, Południe, jedyna część kraju, względnie wczoraj oszczędzona przez ostatniej wojny spustoszenia, dziś wezbraniem rzek zalana, w jedną zmienia się pustynię. Ofjary liczą się na tysiące, materjalne straty na setki miljonów. Tuluza, jedno z piękniejszych prowincjonalnych miast Francji, w gruzach. Chociaż na mniejszą skalę, ta sama klęska i zieloną dotyka Normandję. Drobne na kartach jeograficznych, ledwie że oznaczone strumyki, jak „Touques“ naprzykład, burzą się, rosną, wzbierają i w gwałtowne przemienione potoki niosą wszędzie śmierć i zniszczenie. Jednem słowem kraj cały we łzach i w żałobie, skroń posypuje popiołem i rozdzierając szaty: „Eheu!“ woła „Panie! srogie są sądy Twoje!“

Jakeście to już z dotychczasowych kronik moich łatwo wywnioskować mogli, nie jestem zbytnim narodu francuskiego przyjacielem. Klęski, jakiemi ojczyzna nasza, sympatje swe ku niemu nie raz i nie dwa razy już przepłaciła, silną wywołać musiały rekcję i wyznaję, że umysł mój i serce moje jej uległy. Lecz brak sympatji nie upoważnia do niesłuszności, do widzenia tego tylko, co złe, do zamykania oczów na to, co dobre.

Do takiego jeszcze nie doszliśmy zaślepienia i oto przy zdarzonej okazji, ładną stronę charakteru Francuzów, ze szczerym a chętnym wytykamy pośpiechem.

Solidarność w nieszczęściu, hojność, miłosierdzie, oto cnoty, których im zaprzeczyć nie sposób, szczególniej teraz, gdy się one w skutek wyżej wymienionych powodzi, na tak szeroką zamanifestowały skalę.

Na pierwszą wieść o klęskach Tuluzy, jak gdyby prąd elektryczny całym zatrząsł krajem „śpieszmy z pomocą!“ miłosierne hasło, ze wszystkich wionęło piersi, i wsparcia i datki i jałmużny, tak hojnym polały się strumieniem, iż w niespełna dwa tygodnie czasu, dziesięć już oto miljonów franków połyska w skarbonie zrujnowanych.

To ogólny rezultat olbrzymi, ni słowa, a który większym się jeszcze wyda, jeśli w niektóre jego wnikniem szczegóły.

Berthelier, aktor teatru „Variétés“ w Paryżu, cały dochód z dorocznego benefisu swego, na korzyść ogólnej przeznacza niedoli.

Dochód ten do 6.000 wynosi franków. Ze strony względnie ubogiego, bo ledwie 10 lub 12.000 fr. rocznie zarabiającego artysty, co za królewska, nieprawdaż, jałmużna?

Ratatouille, nazwisko śmieszne, ale czyn wzniosły. Ratatouille, czyścibuta (*le décrotteur*) w miasteczku Perpignan ogłasza, iż tego a tego dnia pracować będzie na korzyść ofiar powodzi.

Pracuje dzień cały, macha szczotką do upadłego i wieczorem, dochód 192, sto dziewięćdziesiąt i dwa franki, (to niepotrzebuje komentarzów) pomocniczemu wręcza komitetowi.

Takich przykładów wyliczyćbym mógł więcej, do nieskończenia.

Iż hrabia de Chambord, iż książęta Orleańscy, iż bogacze jak Rotschild, Richard Vallace, Crémieux po 10, 20, 30 i 50.000 sypnęli franków, to się samo przez się rozumie i w tem nic zgoła nie ma dziwnego.

Wyżej zacytowane, że się tak wyrażę, „grosze wdowie,“ stokroć więcej zasługują na świata uznanie.

Nie ma teatru, któryby na cel ten dobroczynny, jakiego nie urządził przedstawienia; nie ma stowarzyszenia rzemieślniczego, czy handlarskiego, któreby jakiejś ogólnej nie podpisało składki. Służący hotelów i restauracji, woźnice fiakrowi, nawet żołnierze w czynnej służbie, ze szczupłych swych żołdów, zarobków, pensji, jakąś uszczknęli cząsteczkę; dali, dali wszyscy bez wyjątku, bez względu na pozycję socjalną i na stan fortuny.

Któryś z dziennikarskich mizantropów, hojność niektórych panów, nie prawdziwemu miłosierdziu, a tylko żądnej reklamy przypisał próżności. A niech i tak będzie. Cóż z tego? Niech dają przez próżność, byleby dawali.

Oh! Gdyby próżność tak pojęta i na naszych polskich zaszczepiła się łanach. Jakbym jej kadził! Z jaką służalczą, niewolniczą, pochlebiałbym jej uniżonością!

Bądźcie próżnymi, polscy magnaci! Bądźcie t a k próżnymi! W wypadku jakiejś klęski publicznej, a nie brak ich codzień na biednej naszej ziemi, postarajcie się, by nazwiska własne szeroko i daleko rozniosła reklama. Na wyścigi jeden przed drugim, z coraz to większym datkiem, śpieszcie, gdzie czeka niedola.

Czyńcie to dla próżności tylko, przez próżność jedynie.

A bądź co bądź biedak was pobłogosławi.

(Dok nast.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Skorowidz monet litewskich, zebrał Józef Tyszkiewicz. Wydanie z 15 tablicami fotodrukowemi. Warszawa. 1875.

W książce niniejszej, skromnie skorowidzem nazwanej, Józef hr. Tyszkiewicz oddał historji nie małą usługę, opisując i objaśniając około 400 monet litewskich, które wybito na Litwie pod panowaniem królów polskich, a na tablicach dał wierne ryciny tych monet. Przy dziele znajdują się: „Przypiski do mennicy litewskiej“, w których autor podał interesującą wiadomość o najdawniejszych monetach Litwy, i treściwie a źródłowo opisał tu dzieje mennicze tej krainy, wymieniając krytycznie podskarbich, pisarzy, mincarzy i dzierżawców mennic litewskich. Dla numizmatyków i historyków jest to dzieło nieośledniej wartości. Wyszło ono w bardzo małym nakładzie, bo tylko w 200 egzemplarzach.

— Geografja powszechna, dr. V. E. Kluna; opracowali po polsku Ludomił German i Romuald Starkel. We Lwowie. Nakładem Karola Wilda. 1875.

Aż do dnia dzisiejszego nie mieliśmy dobrego podręcznika geografji powszechnej dla nauki w szkołach średnich. Zaradzili temu pp. Starkel i German, tłumacząc z szesnastego wydania bardzo dobrze napisaną geografję Kluna. Opracowanie jest sumienne, styl czysty, nie grzeszący germanizmami, a że tłumacze zastosowali równocześnie system nowych miar i wag austrjackich więc czytający nie będzie się gubił wśród nazw, które tylko po dzień 1go stycznia r. 1876 będą w Austrji używane.

— O publicznej opiece nad obłąkanymi i zakładach psychjatrycznych, przez Dr. Edwarda Sawickiego. Lwów. 1875.

Książka niniejsza napisana w formie sprawozdania, wystosowanego do Wydziału krajowego z podróży naukowej, którą autor odbył w lecie r. 1875. O ogólnej części tego dzieła, która przed kilką miesiącami osobno prasę opuściła, nadmieniliśmy już na tem miejscu. Dziś wypada nam tylko dodać, że całości nic zarzucić nie można, tak jasno i umiejętnie zestawił autor swoje spostrzeżenia, poczynione w najucywilizowańszych państwach Europy. Liczne plany, umieszczone przy końcu książki dają wzór dobrze urządzonych zakładów dla obłąkanych. Mamy nadzieję, że Wydział krajowy będzie każdego roku wysyłał za granicę tak fachowych i sumiennych specjalistów, jak Dr. E. Sawicki.

— Sceny sejmowe. Grodno 1783. Opowiadanie historyczne przez B. Bolesławitę. Poznań. 1875.

Oto nowa praca, odnosząca się do epoki rozbiorowej, którą J. I. Kraszewski zna tak wybornie. Opowiadanie żywe, zajmujące, wierne.

Filozofja i krytyka, przez Karola Libelta, tom VI. Estetyka, czyli umnictwo piękne, część druga. Nakład J, K. Żupańskiego. Poznań. 1875.

Na tym tomie skończyła się zatem pierwsza serja dzieł K. Libelta. Ponieważ wydawca zapowiedział, że w razie, gdyby pierwsza serja nie została przez publiczność należycie popartą, czułby się zmuszonym wstrzymać wydawnictwo dwóch serji następnych, przeto jesteśmy obowiązani zwrócić uwagę publiczności polskiej na stratę, jaką byśmy ponieśli, gdyby tak piękne i tanie wydawnictwo musiało ustać dla braku prenumeratorów. Przecież Libelt to jedna z chwał naszych.

— Stosunki Kazimierza Sprawiedliwego z Rusią, przez Kazimierza Górskiego. Lwów — 1875.

Rzecz to krótka, mieszcząca się na 33 stonicach ale pracowicie wykończona. Liczne cytaty dowodzą że młody autor wziął się sumiennie do dzieła. Po tak pięknym wstępie, możemy w p. Górskim spodziewać się bardzo pożytecznego pracownika na polu historji polskiej.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

Dnia 12 września rb. rozpocznie się we Florencji wielka uroczystość jubileuszowa Michała Anioła. Reprezentantem „Tygodnia“ będzie znany nasz pisarz Dr. Artur Wołyński. Ponieważ z całej Europy zjeżdżają się na ten dzień deputacje Uniwersytetów, Akademij i Towarzystw sztuk pięknych, więc dla okazania, że i Polska żyje i ma sztukę, nasze Towarzystwa sztuk pięknych uznają może za stosowne wysłać delegata, albo przynajmiej uproszą kogo we Florencji aby je reprezentował.

Obraz Matejki „Unia lubelska“ przybył już do Lwowa, i został wystawiony na widok publiczny w sali Zakładu narodowego imienia Ossolińskich. Dochód z wystawy będzie obrócony na pokrycie reszty ceny kupna. Komitety lwowskie i krakowskie wręczyły dotąd p. Matejce 20.000 guldenów. Pozostają zatem jeszcze do uiszczenia 10.000 guld. Wstęp na wystawę wynosi 20 cent. Spodziewamy się, że każdy pospieszy oglądać to wielkie dzieło sztuki.—Na fundusz zakupna „Unji“ otrzymaliśmy od p. Karoliny S. 2 Złr.

— Z przykrością donosimy naszym czytelnikom, że „Wieniec“ i „Pszczółka“ dwa pisma ludowe, których pojawienie się przyjęliśmy tak sympatycznie i według sił popierali, przeszły teraz na własność OO. Jezuitów. Przypuszczamy, że wydawca nie mógł tych pism, w tak poczciwej myśli założonych, dla braku ogólniejszego poparcia własnemi siłami utrzymać, ale to bynajmniej nas nie skłania do nazwania faktu spełnionego dobrym. Jest on niestety bardzo smutnym, ponieważ na lud będzie się odtąd lała jeszcze większa struga obskurantyzmu. Dawniej „Wieniec“ i „Pszczółka“ pisane językiem ludowym, podawały praktyczne rady, zdrowy pokarm duszy. Dziś pierwsze już numera obu tych pism przepełnione są halucynacjami umysłowemi, które z ludu mają zrobić fanatyków, a n e stan pracowity i dla kraju pożyteczny. Teraźniejszym redaktorem „Wieńca“ i „Pszczółki“ jest ks. St. Stojałowski, ten sam, który na pogrzebie śp. jenerała Śmiechowskiego tak smutną odegrał rolę.

— Do znakomitego dzieła Marjana hr. Czapskiego „Historja konia“ wyjdzie nakładem Żupańskiego w Poznaniu atlas, składający się z 70 rycin in folio. Cena atlasu zależeć będzie od liczby prenumeratorów. Atlas jest już na ukończeniu.

— W Warszawie p. Jan Jeleński zakłada tanią czytelnię, w której prócz dzienników i pism perjodycznych, będą się znajdowały także dzieła w języku polskim, francuskim i rossyjskim. Takie czytelnie istnieją już we wszystkich większych miastach europejskich.

Krakowskie Tow. przyjaciół sztuk pięknych przeznaczyło na tegoroczną premię dla swoich członków *Kazanie Piotra Skargi* wykonane według obrazu J. Matejki przez p. Redlicha z Warszawy. Wykonanie tej kopji ma być znakomite.

— Dnia 22 sierpnia rb. odbył się w Bernie kongres niemieckich dziennikarzy, w którym wzięło udział 40 redaktorów, tyluż dzienników niemieckich.

W pracowni rzeźbiarza Aimé Millet w Paryżu, wystawioną jest obecnie statua Chateaubrianda, która ma być postawioną w St. Malo i uroczyście odsłoniętą w d. 5. września r. b. Chateaubriand jest w postaci siedzącej, na skale, z głową wspartą na ręku, ze spojrzeniem zwróconem ku niebu. U stóp jego wiją się rozmaite amerykańskie rośliny. Jestto alluzja do jego *Atali*. Ubrany jest w suknie z roku 1800, to jest z owego czasu, kiedy kończył swój „Génie du Christianisme.“ Płaszcz pokrywa te części ówczesne ubrania, które nie odpowiadają warunkom sztuki rzeźbiarskiej. Dzieło całe jest szlachetnie pomyślane i zaleca się wytwornem wykonaniem. Statua już na dzień 1. września miała się znajdować w Saint Malo. Spiż w posągu waży 1.000 kilogramów. Rzeźbiarz Millet ma sam odwieźć swoje dzieło na miejsce przeznaczenia.

Angielskie gazety, rozpisują się o nowym nabytku londyńskiego muzeum South-Kensington, ogromnym japońskim odlewie bronzowym, wyobrażającym orła morskiego, który jest dziełem słynnego japońskiego artysty z 16 stulecia, nazwiskiem Miochin-Munkbaru, o którym roczniki japońskie mówią, że „nigdy sklepienia niebieskie nie oglądały równego mu mistrza.“ Pochwała może być cokolwiek przesadzoną, usprawiedliwia ją jednak do pewnego stopnia siła malująca się w owym drapieżnym ptaku, który jest wyobrażony w chwili zrywan a się do lotu ze skały, na której stoi. Każde pióro zdaje się być w ruchu; szczególniej pięknem ma być wykończenie upierzenia, które zaleca się niezwykłem urozmaiceniem w szczegółach. Ogon rozwinięty w formie wachlarza, szyja wyciągnięta naprzód, dziób rozwarty, tak naturalnie, że widzowi zdaje się jakoby słyszał krzyk, który pan przestworów wydaje, zanim zerwie się do lotn.

— Znany rossyjski pisarz Jan Turgieniew, podał niemieckiemu komedjopisarzowi Mozerowi nadzwyczaj interesujący przedmiot do dramatu z rossyjskiego społecznego życia. Gustaw v. Mozer opracowuje ten przedmiot i nim zamierza debiutować na polu poważnego dramatu.

— Lord Lytton, angielski poseł w Portugalji, zajmuje się obecnie uporządkowaniem rękopisów pozostałych po jego ojcu, znanym romansopisarzu lordzie Lyttonie Bulwerze. Pomiędzy temi pośmiertnemi pracami znajduje się nieskończony jeszcze romans, w którym Pauzaniasz król Spartański gra rolę, a także ciekawy opis bitwy pod Plateą. Syn dokończy ten utwór i wyda go w zimie b. r. na widok publiczny.

— Aleksander Dumas syn, pisze nowy utwór, mający stanowić niejako pendant do znanej komedji jego „Demi Monde.“ Plan tej nowej pracy ułożył on już od kilku lat, a przedmiotem jego będzie cicha podziemna robota „owych Pań“ wkopujących się we wszystkie kierunki spółczesnego życia, wpływ ich w polityce, na giełdzie i w obywatelskiem życiu. Nowość ta pokazać się ma w zimie r. 1875/76.

— W tym roku, w dniach od 28—30 lipca, odbyło się we Wrocławiu zebranie niemieckiej Akademji tańca, połączone z wystawą środków naukowych odnoszących się do tej szlachetnej sztuki, oraz pism i pamiętników, z rozmaitych czasów, które razem wzięte stanowią literaturę taneczną. Ciekawem byłoby sprawozdanie z posiedzeń tego zebrania i z treści owej literatury!

Podróże.

— Najnowsze listy z Egiptu zawierają nader pocieszające wiadomości o postępach, jakie czynią oficerowie Kedywa w badaniu Afryki i zbliżeniu jej z cywilizacją i handlem. Pułkownik Lang, młody oficer amerykański, wsławiony dawniejszą zuchwałą i pełną rezultatów wyprawą do Mtesa i kilkoma innemi wycieczkami od tego czasu, powrócił do Kairu, z pięcioma ludźmi z różnych afrykańskich pokoleń, oraz mnóstwem osobliwości, szczególniej sprzętów i broni, z których rozmaity stopień cywilizacji odnośnych plemion można wymiarkować. Sprawozdanie jego z przebytych przygód i odkryć dokonanych jest niezmiernie ciekawe. Obecnie pułkownik Lang wybiera się do Europy, dla zrobienia przygotowań do nowych wypraw do samego serca Afryki, które ma przedsiębrać następnie pod protekcją Kedywa.

Statystyka.

— Szampana wypijają rocznie w Afryce 100.000, w Hiszpanji 300.000, w Belgji 500.000, we Włoszech 500.000, w Hollandji 600.000, w Niemczech, 1.500.000, w Rossji 2.000.000, we Francji 2.500.000 w Anglji 5.000.000 a w Ameryce północnej 10.000.000 butelek!

— Według najświeższych danych statystycznych Europa posiada obecnie 12 miljonów psów.

— Ruch kolejowy w Stanach Zjednoczonych jest olbrzymi, jeżeli mamy wnosić z sumy dochodów tychże kolei. W 1874 wynosi dochód brutto ze wszystkich linij 2600 miljonów fr. Pomimo tego jednak dywidenda akcjonarjuszów nie przenosi przeciętnej cyfry 3, 3·9 od 100.

ROZMAITOŚCI.

— W r. 1721 Janowi Heinicken, malarzowi i profesorowi szkoły Sztuk pięknych w Lubece, urodził się synek, którego ów znamienity uczony i artysta, obdarzony szczególnym darem udzielania nauk, postanowił nauczyć mówić w wieku ośmiu miesięcy. Nie zrażając się tedy żadną trudnością przy tem mozolnem zadaniu, wziął się gorliwie do dzieła. Naprzód trzymał pojedyńcze przedmioty przed oczyma dziecka, starając się z całą troskliwością zwrócić na nie spojrzenie jego i uwagę, a po chwili wymieniał nazwę trzymanej rzeczy, głośno, ostro, wyraźnie i powoli. W ten sposób przechodził od pojedyńczych przedmiotów, do wielu razem i do złożonych, od wyrażeń do całych wyrazów. I nie wiele upłynęło czasu, a dziecię nietylko powtarzało słowa i całe wyrażenia, ale nawet widocznie znaczenie ich pojmowało. Przeczytane mu, lub ustnie opowiedziane ustępy z historji biblijnej, chłopczyk powtarzał z drobnostkową ścisłością. Geografji, greckiej i rzymskiej historji, genealogji panujących domów w Europie nauczył się w krótkim czasie, a po łacinie i po francusku mówił już w trzecim roku tak doskonale, jak swoim macierzystym językiem. Przy tem wszystkiem wyglądał zdrowo i zachowywał całą świeżość wieku swego. Sława tego uczonego cudownego dziecka coraz bardziej się rozchodziła, tak, iż wreszcie zebrana w Regensburgu rada państwa poleciła Magistratowi miasta Lubeki, zbadać to dziwo i zdać o niem sprawę. I istotnie badanie to odbyło się 25 Stycznia r. 1724, w przytomności deputacji senatu i ojca dziecięcia, a pod przewodnictwem rektora lubeckiego gimnazjum, Dr. Jerzego v. Seelen, i wypadło ku wielkiemu podziwieniu obecnych a zaszczytowi cudownego dziecka. Wkrótce zawieziono tę małą osobliwość na dwór kopenhadzki na wyraźne osobiste żądanie króla Duńskiego. Mały Christian Heinicke przybył w towarzystwie swojej matki. W oznaczonym dniu wszedł chłopczyk i stanął wpośród licznie zebranego, błyszczącego dworu, jak mówi współczesne sprawozdanie „ze szlachetną powagą.“ Z wyrazem pełnym poczucia godności osobistej, wzniósłszy w górę swoją uroczą, kwitnącą twarzyczkę, rozpoczął łacińską mowę do króla, która trwała przeszło 20 minut. Następnie wypowiedział francuską pochwalną poezję dla królowej i księżniczek, i odpowiadał na wszystkie zwracane doń zapytania jasno, dowcipnie, ani na chwilę nie dając się zbić z tropu. Wzięcie się jego było wzorowe, łagodny głosik brzmiał dźwięcznie i przenikająco, a wdzięczne poruszenia jego wprawiały w zachwyt szczególniej żeńską część towarzystwa. Odwidziny te jednak na dworze kopenhadzkim miały dlań sprowadzić fatalne następstwa. Rozbudziła się bowiem zawiść przeciw niemu, i zaczęto głośno mówić a nawet paszkwilami rozpowszechniać, że w tem wszystkiem nieczysta sprawa, że matka chłopca jest czarownicą, która szatańską mocą na dziecko oddziaływa. Wedle ówczesnych pojęć podobne oskarżenie było wielce niebezpiecznem i jeżeli nie pociągało za sobą więzienia i stosu, to co najmniej padało haniebną plamą na osobę przez nie dotkniętą. Okoliczność ta zniewoliła matkę małego Heinickena do oddalenia dziecięcia od siebie i oddania go pod cudzą opiekę. Ale to właśnie było wyrokiem śmierci na cudowne maleństwo. Chłopczyk nie mógł znieść rozłączenia z matką, płakał, jęczał, krzyczał i w pięć już tygodni potem umarł na wycieńczenie sił, w piątym roku życia.

— Jeden z dzienników angielskich podaje charakterystyczne szczegóły o tem: „Jak królowa Wiktorja o księcia Alberta się starała!“ — 20 Czerwca 1837 umarł król Wilhelm IV i młodziutka Wiktorja wstąpiła na tron angielski. Projektowano wydanie jej za księcia Aleksandra, brata króla Niderlandów, — projekt ten jednak upadł, bo w r. 1839 przybył książę Albert Koburgski do Anglji, jako konkurent i pozyskał serce królowej, o czem ta 14 Października zawiadomiła starego prezydenta ministrów, lorda Melbourne. Następnego dnia zaś miał Albert u Wiktorji ważną, brzemienną następstwami audjencję. Oboje kochankowie znajdowali się w osobliwie kłopotliwej sytuacji. Królowa stała za wysoko po nad księciem, ażeby ten mógł się odważyć prosić ją wprost o rękę, jak to u nas zwyczajnych śmiertelników się dzieje. Wiktorja tedy miała mu ofiarować swoją rękę i rozwiązała tę kwestję, pierwej zresztą z całą rozwagą dyplomatyczną ułożoną, w sposób wielce zręczny. Podała szczęśliwemu księciu z niebiańskim uśmiechem bukiet, który Albert natychmiast jak najbliżej serca pospieszył umieścić. Ponieważ zaś w odpowiedniem miejscu swego ściśle przystającego munduru nie miał ani dziurki, ani kieszonki, wydobył więc prędko scyzoryk, który miał na szczęście przy sobie, zrobił małe nacięcie w mundurze w okolicy serca i włożył w nie drogocenny bukiet. Po czem wypowiedział dzięki za tak łaskawe przyjęcie, jakie go na dworze angielskim a szczególniej u królowej spotkało — a wówczas królowa zwróciła się ku niemu, z następującem znaczącem zapytaniem: — Jeżeli Waszej Wysokości kraj nasz się tak podoba, to byłbyś może skłonnym całkiem tu pozostać. — Na to Albert odparł natychmiast, że to jest najwyższem pragnieniem jego życia — a wtedy Wiktorja, czując ze drżeniem że stanowczy moment nadszedł, wyznała mu ze szlachetną szczerością i otwartością miłość swoją i dodała, iż byłaby najszczęśliwszą, gdyby on się chciał poświęcić i zostać małżonkiem królowej Anglji. Bo zaiste, miał być tylko jej małżonkiem a więcej niczem, i nigdy najmniejszego wpływu nie mieć na sprawy państwa. Książę był temi słowy Wiktorji całkiem oczarowany i oddał się bezwarunkowo. Figarowi Lablache, sławnemu śpiewakowi buffo zawdzięczamy te szczegóły o konkurach Alberta. Gościł on w 1839 r. w Londynie gdzie miał przystęp do dworu i dowiedział się wówczas wielu interesujących szczegółów, które następnie bez skrupułu po paryskich salonach rozpaplał. Książę koburgski i królowa angielska połączyli się 10 Lutego 1840. Związek ich był szczęśliwy od samego początku aż do gwałtownej śmierci, która wyrwawszy księcia z objęć jego małżonki, w najgłębszej pogrążyła ją żałobie. Nigdy najlżejsza potwarz nie dotknęła ich rodzinnego życia, dostojna ta para była prawdziwym wzorem harmonji i miłości małżeńskiej.

— Każdy prawie z uczonych ma swojego konika, swoją idée fixe, swoją manję ulubioną. Antoni Schösser z Frankfurtu nad Menem rozważał w łacińskiem dziele, wydanem w r. 1620, czy kobiety można zaliczyć do ludzi? i doszedł do ostatecznego wyniku, iż można je za ludzi uważać, ale że stoją stopniem niżej od mężczyzn. Pewien profesor, — którego nazwisko niestety w dziejach zaginęło — napisał szeroką rozprawę o formule „et caetera“ w księgach prawniczych. — Poeta Scarron rozkochał się w rękach królowej ówczesnej Francji i poświęcił im wiersz, w którym oświadcza że najwyższą dlań w życiu roskoszą, byłoby parę policzków z tych cudownych rąk otrzymać. Zauważono, że włoski poeta Petrarka chociaż wdzięki swojej Laury w 320 sonetach i 88 canzonach ośpiewał, nigdy nie napomknął nawet o jej nosie — i ztąd to wziąwszy pohop, niejaki Lodovico Godini napisał o stosunkach Petrarki do Laury rozprawę, w której po najściślejszych badaniach doszedł wreszcie do tego odkrycia, iż Madonna Laura miała nos spłaszczony (naso scavezzo). Paradoksalny uczony Linguet wpadł raz na pomysł uderzenia na chleb w osobnem dziele i wykazania iż on jest najniezdrowszym, najszkodliwszym organizmowi ludzkiemu pożywieniem. Tissot zaszczycił tę osobliwą broszurkę obszerną polemiczną odpowiedzią, na którą zaiste nie zasługiwała. — Sławny jurysta Nevizian wysypał w dziele swojem „Sylvae nuptialis Libri sex, 1752“ tyle obelg i potwarzy na całą płeć żeńską, iż rozjątrzone piękności turyńskie nie spoczęły pierwej, aż złoczyńcę za karę wsadziły do więzienia, do którego odprowadziły go lżąc i obsypując kamieniami. W więzieniu tem siedział Nevizian długi czas, i nie pierwej odzyskał wolność, aż po publicznem na klęczkach odwołaniu słów swoich.

— Cała Ameryka północna jest w tej chwili w wielkiem wzburzeniu, z powodu wykrycia sprawców strasznej zbrodni popełnionej przed 18 laty na całej osadzie przybyszów do ziemi mormońskiej. W miesiącu wrześniu 1857 r. przybyła gromada wędrowców z kraju Missouri, zkąd wygnano Mormonów, do Utah, chcąc się tam osiedlić. Byli to po prostu osadnicy, chcący się zagospodarować; a że wynieśli z domu niechęć do Mormonów, i liczyli na opiekę władz, przeto w zetknięciu z Mormonami szydzili z nich i naigrawali się. Nazwali oni dwa woły, jednego Brigham, drugiego Heber, na szyderstwo z proroka Mormonów Brigham Jounga i kapłana ich, czyli biskupa Heber Kimballa. Przytem klęli, co u Mormonów jest zakazane ustawą i karę sądową ściąga, wyrabiali psoty i szkody Mormonom w zbożu i płotach, oraz zabijali im bydło. Czy tak istotnie było, śledztwo zapewne już nie wykaże; wszelako utrzymują niektórzy, że osadnicy żadnej szkody nie wyrządzali, że byli to ludzie pracowici, a jedyną ich winą, że lekceważyli Mormonów, ustawami religijnemi ich gardzili i z ich proroków oraz wielożeństwa szydzili. Dziś sekta ta jest w upadku, a sądy amerykańskie ścigają wielożeństwo. Wówczas jednak tolerował ich rząd Unji, lecz w miarę, jak który kraj zaludniał się, wyganiał od siebie Mormonów i zmuszał ich do szukania dla siebie miejsca dalej na zachodzie. Niedawno temu odszukano ich w ostatniej siedzibie, w ziemi Utah, nad jeziorem Słonem, i przymuszono do poddania się. Ale to nie zostaje w związku ze zbrodnią, jakiej się Mormoni dopuścili na osadnikach z Missouri. Mormoni zazwyczaj gościnni, wprawdzie w widokach przeciągania na swoją stronę i nawracania, odmówili przybyszom z Missouri pomocy, nawet nie chcieli ich wpuścić do gospód, ani im żywności sprzedawać, owszem kapłani ich i urzędnicy grozili klątwą i karą wszelką za pomoc udzieloną przybyszom z Missouri. Wreszcie, na wielkiej radzie mormońskiej, postanowili wymordować przybyszów. Zasiadali na tej radzie: George Smith, dziś jeszcze jeden z wyższych urzędników, Dame, Haight i Lee, jeden z ich pułkowników. Miejscem zagłady miała być osada Santa Clara, w powiecie Canyon, a nawet powołano pod broń milicję z Utah, co mogło się stać tylko z wyraźnego rozkazu proroka Jounga, jako naczelnego wodza. Przytem namówiono Indjan, którym przyrzeczono łupy po zabitych i polecono im uderzyć. Indjanie też napadli na koczujących d. 10 września 1857 roku pod Canespring, zabili ich 7, a 19 ranili. Przybysze oszańcowali się taborowym wozem i odegnali Indjan. Wtedy wysłano na nich 60 ludzi z milicji, która miała nakaz nie wypuszczania nikogo żywcem, a ktoby się chciał z poza wozów wysunąć, ma być zastrzelony, nie wyjmując kobiet i dzieci. Gdy tak kilka osób chcących iść po wodę zabito, podjęło się trzech wychodźców po czterodniowem oblężeniu przedrzeć się do Kalifornji i zażądać pomocy władz. Ale Indjanie puścili się za uchodzącymi w pogoń i wymordowali ich. Dnia 18 września przybył do taboru Lee z białą chustką, jako parlamentarz, i zażądał, aby się poddali milicji. Gdy jednak przybysze wysunęli się z za wozów, na dany znak przez Lee, milicja poczęła strzelać raz po razu na bezbronnych, a Indjanie przyskoczyli ze strzelbami i nożami, i dopomogli do rzezi. Większą część kobiet znieważono, a potem zabito; sam Lee zabił kobietę, która się nożem broniła od zniewagi, a inną zastrzelił. Pearce, ma do dziś dnia bliznę, gdyż ranił go własny ojciec, że chciał ocalić kobietę, która mu się do nóg rzuciła. Żyjący jeszcze Bill Stewart i Joe White, mieli sobie polecone zabić wszystkie dzieci i wypełnili rozkaz. Wymordowano wtenczas 127 osób, a z zabitymi wysłańcami razem 133. Haight, Lee i Dame mieli złupić ofiary i pokłócili się między sobą przy podziale, co zwolna sprowadziło wykrycie całej sprawy. Dawniej gdy władza Unji amerykańskiej nie sięgała do miasta Mormonów, szczegóły te nie były wiadome; teraz zaś wyszło wszystko na jaw, zdradził zaś Mormonów przez zemstę, kapłan ich, ów Lee, i stanął za świadka. Śledztwo toczy się w Beawer. Uwięziono wiele osób, wezwano około stu świadków. Z żyjących oskarżeni są, o ile wiadomy ich pobyt: Lee, Dame, Haight, Stewart, Elliot, Wilder, Geo-Lidair, Higbee, Samuel Jules i Klugman Smith. Dame jest również arcykapłanem i używa wśród Mormonów wielkiej wziętości.

Treść Nr. 36.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).